

DYLEMATY
HOMO OECONOMICUS

Agnieszka Szewczyk

DYLEMATY
HOMO Oeconomicus
czyli
CO JEST ZYSKIEM,
A CO STRATĄ

bernardinum
2023

Recenzent:
prof. dr hab. Elżbieta Skrzypek

Korekta:
Anna Gniewkowska-Gracz

Wybór ilustracji:
Elżbieta Piekarska

Ilustracje:
www.pixabay.com

Zdjęcie z okładki: www.pixabay.com

Zdjęcie z tyłu okładki: Hanna Kupczyk

© Copyright by Agnieszka Szewczyk, 2023

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 58 536 17 57, fax 58 536 17 26
bernardinum@bernardinum.com.pl
www.bernardinum.com.pl

Skład, druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum” Sp. z o.o.,
Pelplin

ISBN

*Czytelnikom –
z życzeniami, aby potrafili
dobrze odróżniać zyski od strat
w swoim życiu*

Zamiast wstępu

Daleko stąd, w niewielkim mieście, pewien człowiek otworzył własny interes – mały sklepik na skrzyżowaniu dwóch ulic. Mężczyzna ten był dobrym człowiekiem. Z ludźmi postępował uczciwie i po przyjacielsku, więc klienci lubili go. Kupowali jego towary i polecali go znajomym. Interes kwitł i powiększał się. W przeciągu lat powstała sieć handlowa od oceanu do oceanu.

Ale to jeszcze nie koniec.

Pewnego dnia mężczyzna zachorował i lekarze obawiali się, że jego życie dobiega końca. Rankiem wezwał więc swoich trzech dorosłych już synów i dał im pewne zadanie:

– Jeden z was zostanie prezesem firmy, którą budowałem przez całe życie. Aby podjąć decyzję, który z was zasługuje na to stanowisko, każdemu



wręczam banknot jednodolarowy. W ciągu dzisiejszego dnia postarajcie się kupić za niego jak najwięcej, pamiętajcie jednak, że zwycięży ten, czyje zakupione rzeczy wypełnią mój szpitalny pokój od ściany do ściany!

Synowie, niezmiernie podekscytowani perspektywą szefostwa firmy, wyruszyli do miasta, aby wydać swojego dolara.

Wieczorem powrócili do szpitala i ojciec zapytał najpierw najstarszego syna, jak wywiązał się z tego zadania. Oznajmił on:

– Ojcze, pojechałem na farmę mojego przyjaciela i kupiłem dwie bele siana. – Wniósł bele do pokoju i zaczął rozrzucać siano w powietrzu. Przez chwilę wydawało się, że źdźbła wypełniają cały

pokój, ale prędko osiadły na podłodze i nie napętniły pokoju, jak nakazał ojciec.

Następnie średni syn powiedział:

– Ojcze, kupiłem dwie poduszki. – Wniósł je do środka, rozpruł, rozrzucił pierze, które jednak również osiadło na podłodze i nie zdołało wypełnić pokoju.

Przyszła kolej na najmłodszego syna.

– Co ty uczyniłeś ze swoim banknotem? – padło pytanie.

– Ojcze, wziąłem go i udałem się do takiego sklepiku, jaki ty miałeś wiele lat temu i rozmieniłem go na drobne. Czterdzieści centów ofiarowałem pewnej kobiecie, która stała przed sklepem i nie miała pieniędzy, aby kupić dzieciom chleba. Pięćdziesiąt centów zainwestowałem w pewną firmę, która dobrze prosperuje i przynosi duże zyski. Została mi dziesięciocentówka, za którą kupiłem dwie rzeczy. – Po czym wyjął z kieszeni pudełko zapalek i małą świeczkę. Zapalił ją, wyłączył światło, lecz okazało się, że pokój i tak jest go pełen – od ściany do ściany!

Ojciec się uradował i oznajmił mu, że to właśnie on zostanie prezesem firmy, bo pojął już pewną życiową lekcję.

(autor nieznany)



Jak nic nie stracić, a wiele zyskać?

Albo zysk, albo strata

Stanisław Fornal

Jaką lekcję? Z tej opowieści można wyciągnąć różne wnioski, choćby taki, że istotą geniuszu jest wykorzystanie najprostszego pomysłu! Jakie jeszcze?

Myślę, że wyciągniesz je, Drogi Czytelniku, bez trudu po lekturze tej książki. Powodzenia!

Wten pamiętny piątek obudziłam się już o czwartej rano, umęczona i z bólem głowy, pewnie dlatego, że w nocy prześladowały mnie złe sny. Rzadko pamiętam, co mi się śniło, ale dzisiejszego poranka sen zaczął przesuwać mi się przed oczyma, jak film...

Stoimy na cmentarzu nad grobem naszej córki, płaczemy oboje z mężem, a teść krzyczy bardzo głośno, że to moja wina! Cała się trzęsę, mąż mnie zostawia i odchodzą z teściem od grobu w kierunku lądującego w pobliżu samolotu. Wychodzą z niego ludzie w białych fartuchach, z noszami, i wołają:

– Ewuniu, gdzie jesteś? Mamy cię zawieźć na operację do Bostonu. Gdzie jesteś?

I wtedy z przerażeniem widzę, że trumna stoi na grobie, na górze kwiatów i wieńców, uchyla się jej wieko i nasza córka woła przez łyż:

– Nie mogę lecieć do Bostonu, nie mamy pieniędzy na naprawę mojego serduszka!

Makabra, prawda? Słyszę jakiś krzyk, a właściwie skowyt bólu i rozpacz, ale to już jest w realu...

Przycisnęłam usta do poduszki, patrząc, czy Stachu się nie obudził, ale na szczęście nadal pochrapywał. Na chwiejących się nogach przeszłam przez korytarz i uchylałam drzwi do pokoju Ewunii. Spokojnie spała, ściskając w objęciach ulubionego misia.



W kuchni połknęłam podwójną dawkę leku na ból głowy, przecież za trzy godziny muszę już być w firmie. Przysiadłam przy otwartym oknie, łapczywie łapałam rześkie wiosenne powietrze. O Boże! Jak długo jeszcze Ewunia zdoła sama oddychać? Miesiąc, pół roku? Lekarze nie są zgodni w określeniu tego czasu, ale Ty, Boże, wiesz!

Pamięć podsunęła mi wspomnienie dnia, w którym dowiedzieliśmy się, że nasza córka jest śmiertelnie chora, a jedyną szansą jest skomplikowana i bardzo kosztowna operacja w Stanach.

Ach te pieniądze! Czego myśmy nie robili, żeby je zdobyć... I wciąż to jest za mała suma... Za tydzień minie termin wpłaty na konto kliniki w Bostonie. Stracimy wielką szansę, wypadniemy z długiej kolejki oczekujących na różne operacje serca. I pewnie niedługo potem będzie tak, jak w tym strasznym śnie!

– Boże! – wyszeptałam – Ratuj naszą córeczkę!

Nagle uświadomiłam sobie, że się modłę, chyba po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Lecz zaraz przyszła myśl – co ty robisz? Przecież Boga nie ma, to wymysł słabych ludzi! A ty jesteś mocna, po co ci Bóg? I wtedy powiedziałam:

– Boże, jeżeli jesteś, daj mi, proszę, znak Twojej obecności... Brakujące pieniądze muszą się znaleźć!

Ale znaku nie było...

Przestraszyłam się niespodziewanie swojej zuchwałości – jak mi się wydawało – prośby, bo – prawdę mówiąc – od miesiąca miałam już szansę na dopełnienie potrzebnej wpłaty. Ale...

Otóż szef w firmie, od pierwszego dnia mojej tam pracy, adorował mnie. Z początku mi to nawet imponowało. Koleżanki mi zazdrościły, że to właśnie mnie wybrał, chociaż szczerze mogę powiedzieć, że nie jestem wcale Miss Polonia.

Mijały miesiące, koleżanki prorokowały mi rychły awans. Mnie ten flirt właściwie tylko bawił, nic więcej. Ale wtedy usłyszeliśmy tę zabójczą diagnozę... Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie pieniędzy! Szef interesował się na bieżąco stanem mojego konta, nawet wpłacił pewną (nie-wielką!) sumę w czasie internetowej zbiórki. A gdy przedwczoraj zaprosił mnie do swojego gabinetu i poczęstował kieliszkiem koniaku, sądziłam, że będzie mówił o ewentualnym awansie! Ale on zaproponował mi wizytę w swojej rezydencji, o której w firmie krążyły różne legendy. Zazna-

czył, że „chata jest pusta”, bo żona wyjechała w interesach do Paryża na kilka dni, więc...

– Zobaczysz, jak dużo ZYSKASZ! Potrzebujesz przecież kasy na operację dla córki. Dam ci brakującą sumę! Przy moim majątku, nawet tego nie zauważę. Ale – musisz pójść ze mną do łóżka, musisz być miła i posłuszna. Pożądałam cię – zasa- pał mi nad uchem, nalewając drugi kieliszek koniaku. – Przemyśl to, czekam w piątek po pracy w gabinecie. Po „tym” odwiozę cię pod sam dom.

Zerwałam się jak oparzona i cała w wypiekach prędko wybiegłam z gabinetu. Na samo wspomnienie tej propozycji zrobiło mi się słabo, ale...

Chyba jeszcze przyłożę głowę do poduszki – pomyślałam, patrząc na zegarek. Chociaż na piętnaście minut! Stach spał jeszcze, więc cichutko weszłam do łóżka i wpatrzyłam się w jego twarz. Wówczas, nawet jakby wbrew sobie, podjęłam decyzję! Powiedziałam szeptem:

– Stasiu, przepraszam cię, muszę to zrobić, ten jeden, jedyny raz. Mam nadzieję, że to zrozumiesz...

Do pracy włożyłam seksowną czerwoną sukienkę, tę samą, którą miałam na sobie w piątą rocznicę ślubu. Gdy Stach spojrział na mnie ze zdziwieniem, mruknęłam coś o firmowej konfe-



rencji, po której jestem zaproszona na uroczystą kolację z prezesami zaprzyjaźnionych przedsiębiorstw.

– Wróć późno, nie czekaj na mnie – zawołałam już z przedpokoju, bo klucha w gardle zapowiadała wybuch płaczu.

W ostatniej chwili wrzuciłam jeszcze do torby długi popielaty blezer, żeby nie robić „afery” w biurze swoim strojem.

Nie mogłam się skupić na projektach marketingowych. Targały mną emocje – od radości, że wpłacimy całą sumę na konto kliniki i zabukujemy bilety na samolot, po lęk i wstyd, bo jeszcze nigdy nie zdradziłam męża, który był moim pierwszym

mężczyzną. Nie wiedziałam jeszcze, co mu powiem o tym nagłym przyplýwie niemałej przecież kwoty. Nagle, jak strzała, przeszła mnie myśl – a co będzie, jeżeli szef mnie oszuka, nie otrzymam obiecanego „honorarium” od razu, lub wcale, może będzie chciał mnie pojąć jeszcze raz i jeszcze raz..., będzie mnie szantażował, że upubliczni nasz romans, że powie o tym mojemu mężowi... Co zrobić, co zrobić?

Postanowiłam w końcu, że „przed” zrobi internetowy przelew i już! Wydawało mi się to niezbyt eleganckie, ale trudno, to będzie mój warunek. Oczywiście przelew będzie pochodził od... anonimowego darczyńcy. To będzie jednocześnie informacja dla Stacha, który się przecież niczego nie domyśli, tylko ucieszy...

Przed szesnastą napisałam SMS-a do szefa, że się zdecydowałam i będę za parę minut w jego gabinecie, a także, że przyjdę pod pewnym warunkiem. Natychmiast odpisał: „Super, OK. Ale przelew zrobię w domu z prywatnego komputera, chyba rozumiesz, dlaczego. I pamiętaj – więcej zyskasz niż stracisz! To jest podstawa każdego biznesu!”

No trudno – pomyślałam – chyba nie będzie jednak takim chamem, żeby mnie oszukać i wy-

korzystać wbrew mojej woli przed załatwieniem „formalności”. Ale dla pewności jednak przygotowałam i wydrukowałam małe oświadczenie i z pięknym uśmiechem, po wejściu do jego gabinetu, zmusiłam go do podpisu i przybicia pieczętki. Nie miało ono z pewnością żadnego prawnego znaczenia, ale niech sobie nie myśli, że może mnie nabrać. Zresztą był na tyle zaaferowany czekającym go spotkaniem, że chyba nie pomyślał o absurdalnej „mocy” tego podpisu...

Kolację zjedliśmy w ekskluzywnym nastrojowym lokalu. Rozmawialiśmy, jak to się mówi, o wszystkim i o niczym. Trochę o pogodzie, trochę o pracy, planowanych urlopach... I można by pomyśleć, że ot, spotkało się dwoje znajomych, pogadali, pojedli i... rozeszli się w swoje strony, gdyby nie podejrzone błyski w oczach szefa i nerwowość w ruchach, narzucająca pośpiech. Kelner, który przepadł gdzieś na zapleczu, oberwał tak, że aż zbladł jak ściana. Wezwany szef kuchni tłumaczył się nieporadnie po otrzymanej reprimendzie.

Gdy opóźniało się główne ciepłe danie – sandacz w pomidorach – przeprosiłam mojego towarzysza i zniknęłam w toalecie.



Poprawiłam fryzurę i makijaż, nie zastanawiając się, po co właściwie to robię. Kiedy chowałam pomadkę, wpadła mi w ręce komórka. Była już dwudziesta, więc postanowiłam, że zadzwonię do domu i powiem Ewuni „dobranoc”. Nie spieszyłam się zbytnio do stolika.

Nagle zapragnęłam całym sercem, żeby być w domu, ucałować Ewunię i Stacha, przytulić się do niego i spokojnie zasnąć. Na samą myśl o tym, że mam się oddać szefowi, poczułam się słabo. Co ja najlepszego chciałam zrobić? O Boże! Nie chcę tego! Panie, zajmij się Ewunią! Proszę Cię! Ja wracam, dzwonię po taksówkę!

Z przerażeniem zobaczyłam jednak, że mam na wyświetlaczu wyciszonego od paru godzin smartfona cały szereg nieodebranych połączeń

i SMS-ów, najwięcej od Stacha: „Oddzwoń”, „Oddzwoń – bardzo ważna sprawa” itd.

– Stachu, o co chodzi, co się dzieje, coś z Ewunią? – wykrzyknęłam na jednym oddechu, gdy natychmiast odebrał.

– Hanusiu! Będziemy mieli już w poniedziałek całą potrzebną kwotę dla Ewuni! Słyszysz mnie? Hanusiu! Słyszysz, co ja mówię? Odpowiedz!

Skąd on wiedział? Stałam jak wryta przed lustrem i patrzyłam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Słyszę cię – odpowiedziałam cicho – słyszę.

– Hanusiu! Nie wiedziałem, gdzie macie tę biznesową kolację, bo bym od razu przyjechał, żeby przekazać radosną wiadomość. Dzwoniła pani prezes fundacji „Złote serce”, wiesz, tej, w której najpierw chcieliśmy zbierać fundusze dla Ewuni. I powiedziała, że pewne małżeństwo, które chce pozostać anonimowe, pragnie przekazać pieniądze od darczyńców, które wpłynęły na leczenie ich synka Daniela, lecz niestety nie mogły zostać wykorzystane, bo dziecko zmarło. Smutna, ale jakże piękna i szlachetna historia! Ci państwo mają wspierać dar – wyobraźnię miłosierdzia! Mama Daniela wybrała Ewunię, bo to podobna choroba, wiek i ustalone leczenie w Bostonie! Wyobrażasz to sobie?! Zarezerwowałem już bile-



ty na samolot dla naszej trójki. Haniu, czemu nic nie mówisz? O której wrócisz?

– Zaraz wsiadam do taksówki i wracam do was, kochani – zawołałam ze łzami w oczach. – Ucałuj Ewunię ode mnie na dobranoc!

Nagle otworzyły się drzwi do toalety i do wnętrza wtoczył się wózek z mopem, wiaderkiem, różnymi płynami, pastami itp., a z nim starsza pani w zielonym fartuszk.

– Ojej, czy pani jest słabo? Taka pani blada, czy wołać pomocy? Niech pani tu przysiądzie, na tym



stołeczku – mówiła, patrząc na mnie z troską. – I dlaczego pani płacze, coś złego się stało?

– Wprost przeciwnie! Stał się cud! Wie pani, że Pan Bóg jest wspaniały i że daje znaki? Czy jest tu jakieś boczne wyjście, bo nie chcę wracać na salę – pytałam, wybierając jednocześnie numer korporacji taxi.

– Jest, jest, zaraz pokażę. Rozumiem, że zerwała pani z tym mężczyzną w popielatym garniturze? To zły człowiek, pyszny, krzykliwy. Na mnie też przed chwilą nakrzyczał, że za wolno się ruszam, gdy wycierałam rozlaną na podłodze obok waszego stolika zupę. To bardzo dobra decyzja!

Oj, żeby pani wiedziała, jak dobra – pomyślałam, posyłając jej promienny uśmiech na pożegnanie; nic nie straciłam, a zyskałam wiele – taka jest Boża ekonomia!

Zgniłe owoce zysków

Zysk zły, długo smucić będzie

Marcin Bielski

Gośka, wstawaj natychmiast! Co to za leniuchowanie! Szykuj śniadanie, już piąta rano! Obudź dziewczyny, a ja zaraz potrząsnę chłopakami, bo mieli od samego rana pakować palety z wrzosami. Kontrahent przyjedzie około siódmej, właśnie mi potwierdził SMS-em. I nie będzie czekał! Chcecie stracić takiego odbiorcę? – Wiktor wołał to już w pokoju naszych synów, a ton jego głosu nie zapowiadał nic dobrego.

– Jacek, Janek – do roboty, i to zaraz. Śniadanie zjecie później! Ale już!

– Oj, tato, przecież do późnej nocy sortowaliśmy nasiona, dopiero co się zdrzemnęliśmy, a to przecież ostatnie dni wakacji i...

– No właśnie! – Wiktor krzyknął jeszcze głośniej. – Pojedziecie na całe przedpołudnie na te durne lekcje, więc teraz musicie jeszcze działać! Działać! Prędko, bez gadania, palety stoją w szopie obok szklarni!

Głowa mi pękała, te ataki migreny coś za często mnie gnębią. To chyba z nerwów. Przecież mój mąż jest nie do wytrzymania. Muszę z nim poważnie porozmawiać.

Ledwo widząc na oczy z bólu, zwlekłam się z łóżka. Gdy zaczęłam szykować kanapki, na sam widok wędliny dostawałam strasznych mdłości. Chyba nie jestem w ciąży – pomyślałam z przerażeniem. Ale na szczęście ból głowy powoli mijał. No tak, dzisiaj pomogły mi dopiero trzy tabletki, a jeszcze miesiąc temu wystarczała jedna. Koniec sezonu jest zawsze koszmar.

Odruchowo spojrzałam przez kuchenne okno na naszą plantację borówki amerykańskiej. Jak okiem sięgnąć widać było zagonki z krzewami, wciąż obsypanymi owocami.

– Boże! Nie damy rady tego zebrać! – wyrwało mi się półgłosem, a na nieszczęście do kuchni wszedł właśnie Wiktor.

– Co, nie damy rady? Tak myślisz? To trzeba będzie wstawać jeszcze wcześniej. I zadzwonić



dzisiaj do swoich rodziców, niech przyjeżdżają natychmiast do roboty. Mają przecież czas, prawda? Emeryci! – wykrzyknął ze złością. – Da się im kobiałkę borówek i ze dwie doniczki wrzosów, to będą zadowoleni, prawda? Zrobią sobie dżem i udekorują balkon. A gdzie jest Baśka i Zuzanna? Co, jeszcze ich nie obudziłaś? Ładne rzeczy! Cofnę im kieszonkowe na wrzesień i niech się pożegnają z myślą o nowych kurtkach. Darmozjady. Baśka musi dziś zrobić porządek w szklarni z pelargoniami, bo szykuję już nowe nasadzenia, a Zuzka...

– Wiktor! Basia ma uczulenie na pelargonie, nie pamiętasz jak ostatnio dostała pęcherzy na rękach i dusiła się?

– Ale przecież łyka te drogie tabletki, to chyba już po problemie? Mam płacić w aptece bająnskie sumy po próżnicy? A te porządki to akurat robota dla niej. Jak jej znów coś będzie, to pozwę do sądu doktorkę, która jej przepisała ten środek. I jeszcze wzięła trzy stowy za wizytę, bo jest superspecjalistką, aler... i jak tam było dalej?

– Alergologiem – dokończyłam prędko, bo Wiktor coraz bardziej się nakręcał.

– Idę zobaczyć, jak tam posuwa się sprawa z paletami, a ty w końcu postaw do pionu dziewczyny. Niech szybko coś zjedzą, bo Zuza w ubiegłym tygodniu zemdląca, podobno z głodu, i – upadając – złamała trzy dorodne krzaki borówek. Taka strata!

– To taki z ciebie ojciec?! – w końcu i mnie poniosły nerwy. – Zamiast Bogu dziękować, że dziecko się nie połamało, to ty żałujesz paru gałęzi?! Wstydz się! Wciąż myślisz tylko o zysku! O pieniądzach! A my? My się nie liczymy? Nie możesz tak, jak to jest w porządnych firmach, zatrudnić kilku przynajmniej pracowników?

– Gośka, co ty gadasz? Wiesz, ile to pochłania kasy? Zapłać takim dniówkę, ubezpieczenia, daj ileś tam wody mineralnej do picia, odzież roboczą,



a może jeszcze daj na bilety autobusowe, żeby nie musieli po pracy iść do domu na piechotę. Dla biznesmena najważniejszy jest ZYSK! A zysk – to przychód minus koszty. To by się wcale nie kalkulowało. A zresztą nie po to mamy czwórkę dzieci, w które przecież od lat inwestujemy, żeby teraz zatrudniać tu kogoś obcego! Koniec dyskusji! I dzwoni do teściów. Ale już!

Po szybkim śniadaniu Wiktor posłał „na borówki” Jacka, Zuzię i mnie, a Basię i Janka do szklarni z poleceniem naprawienia kilku okienek na dachu i zmycia kleksów wapna ze wszystkich ścian, bo nie ma już takiego ostrego słońca.

– Tylko zrób to dokładnie, bo jak nie, to...

Na szczęście nie usłyszeliśmy już ciągu dalszego, bo zadzwoniła komórka Wiktora. Rozmawiał z kimś bardzo zdenerwowany i powtarzał: „a zysk..., czy zysk..., dlaczego zysk jest taki, a nie...”. Usiadł po tej dyskusji od razu przed komputerem i sam zaczął coś zliczać. Ale nie był wciąż zadowolony. Jak doszedł do nas na plantację, mamrotał coś ze złością pod nosem i raz po raz nas poganiał. Sam nie zebrał wiele, bo stale gdzieś wydzwaniał.

– Coś interesy marnie idą? – zagadnęłam go w dobrej wierze. – Zrobię na pociechę coś dobrego na obiad. Co byś zjadł? Zapełnię tylko tę kołbałkę i lecę do kuchni!

– Gośka, ani się waż! Trzeba zbierać, i to szybko. Widzisz, że słońce przypieka, a prognoza mówiła o burzy z piorunami. Chcesz, żeby owoce się zmarnowały? Tyle kasy wbije się w błoto! A obiad? Przecież wczoraj przyniosłem ci kurę, którą przejechałem na drodze. Oskub ją prędko, wrzuć do wody, dodaj jarzyny i obiad sam się ugotuje. Zresztą, co ja ci będę gadał... – I znów zadzwoniła jego komórka.

Przypomniało mi to, że mam dzwonić do rodziców. Bardzo niechętnie proszę ich o pomoc na plantacji.

– Jak się macie? – zapytałam nieśmiało. Ale ojciec od razu domyślił się, o co chodzi.

– Wiktor szaleje jak zwykle? – zadał czysto retoryczne pytanie. – Przyjadę pojutrze, dobrze? Ale mamy nie będę namawiał, ma ostatnio skoki ciśnienia.

– A ty jak się czujesz? – zapytałam z troską.

– Może być! – odparł wymijająco i głowę dam, że machnął przy tym ręką. – Wezmę słomkowy kapelusz, ten z Międzyzdrojów, i jakoś to będzie.

Niestety to „jakoś” nie sprawdziło się. Po trzech dniach wysiłku „na borówkach” tato poczuł się bardzo źle, a gdy rano weszłam zaniepokojona do jego pokoju – leżał nieprzytomny przy łóżku.



Pogotowie przyjechało szybko. Udar – brzmiała diagnoza!

– Leczenie w szpitalu będzie długie, rehabilitacja może nie przynieść spodziewanych efektów – uprzedził nas lekarz.

Płakałam, płakałam, ale poszłam „na borówki”.

Następnego dnia wymogłam na Wiktorze, że dał mi samochód i pojechałam do miasta odwiedzić ojca w szpitalu. Zabrałam też dziewczynki, żeby kupić wyprawki do szkoły. Ojciec nie odzyskał przytomności, lekarka była bardzo ostrożna w wydawaniu opinii.

– Zobaczmy, co przyniosą kolejne dni... Ale pani coś źle wygląda – zagadnęła mnie. – Radzę zrobić badania. Lepiej zapobiegać niż leczyć – dodała profesjonalnie.

Nie wiem, czy to słowa lekarki, sugerującej mój zły stan, czy faktyczne problemy – chroniczne zmęczenie, ciągłe migreny, niepokój o ojca – spowodowały, że rzeczywiście czułam się okropnie. Ledwo dojechałam do domu. Dziewczyny całą drogę kłóciły się, która dostała lepsze czy gorsze ciuchy, długopisy, torby... Basia niemal bez przerwy kaszlała i wycierała nos, oczy jej łzawiły i trudno jej było oddychać. To skutki paru dni w gorącej szklarni pełnej pelargonii. Chyba trzeba

będzie zwiększyć dawkę leków na uczulenie, będzie też dodatkowy wydatek... Trudno, na zdrowiu córki nie będę przecież oszczędzać. Mam nadzieję, że Wiktor to zrozumie. Zuzię rozboleła głowa, chyba odziedziczyła po mnie migreny. Tak więc obie „wysiadły” i powiedziałam, żeby poszły się położyć, a ja już wezmę na siebie ich zwolnienie „z borówek”, przynajmniej na to popołudnie. Basi przygotowałam inhalację, zboleła Zuzia połknęła bez protestu tabletkę przeciwbólową.

W domu było dziwnie cicho. Wiktor miał wyjechać na spotkanie do księgowej, bo wciąż nurtowały go zbyt małe zyski – i z borówek, i z kwiatów. Mówił, że wróci późno. A gdzie podziały się chłopaki? Zajrzałam do ich pokoju, był pusty. Podpadło mi tylko to, że łóżko Jacka było dokładnie zaścielone, jak w wojsku, a zazwyczaj zostawiał bajzel. Na nocnym stoliku leżała kartka: *Wyjechałem do kolegi. Nie szukajcie mnie. Mam dosyć tej harówki, nie chcę zawalić szkoły. Przecież czeka mnie matura. Nie bójcie się. Nie zrobię żadnego głupstwa. Muszę odreagować... Mamo, zadzwonię! Jacek.*

Stałam jak wryta z kartką w ręce. Boże, co robić? Przecież on ma tylko siedemnaście lat!

Łóżko Janka było na szczęście rozbebeszone, jak zwykle. Jego komórka leżała na stercie brudnych skarpet – ale właściciela nie było. Wysłam na taras od ogrodu i nagle usłyszałam od strony szklarni jakiś głos. Ze strachem otworzyłam drzwi, buchnęło z wewnątrz niesamowicie gorące powietrze. Na środku, na doniczkach z resztkami pelargonii, leżała duża drabina, a obok... Janek. Jęczał cicho i łapczywie łykał chłodne powietrze.

– Mamo, mamo, spadłem z drabiny! Nigdy mi się to nie zdarzyło! Chyba słońce mnie oślepiło, zakreśliło mi się w głowie, byłem pieruńsko zmęczony, a ojciec jeszcze przed wyjazdem zażądał, żebym skończył te naprawy w szklarni do wieczora, bo trzeba już flancować rozsady. To się spieszyłem. Chyba mam coś z kręgosłupem, bo straciłem zupełnie czucie w nogach! Komórkę gdzieś zostawiłem w domu, nie miałem jak wołać o pomoc. Zawsze ją noszę w kieszeni, a dziś... I myślałem, że się tu uduszę. Przeciąg zamknął drzwi, a ja nie mogę się ruszyć.

– Janek! Nie mów tyle! Dzwonię na pogotowie. Boże, znowu ten szpital, a tu ojca nie ma. Trudno, dojedziemy do ciebie. Przyniosę ci tylko komórkę z pokoju, żeby był z tobą kontakt.



I kolejny raz patrzyłam na odjeżdżającą w pośpiechu karetkę... usiadłam w kuchni i ukryłam twarz w dłoniach.

Nie miałam siły jechać znów do szpitala, poza tym bałam się, że Basia dostanie ataku duszności, a Zuzia spanikuje.

Zrobiło się jakoś ciemno, a za chwilę lunęło i zagrzmiało. Nie słyszałam więc, jak Wiktor zajechał. Wpadł do kuchni i rozpoczął od wyrzutów:

– A nie mówiłem, że będzie padać? Tyle owoców się zmarnuje! A szklarnię zaleje, jeżeli ten nieudacznik nie skończył łatania szybek. Widziałś może, czy skończył? A wiesz, że pomyliłem się w wyliczeniach? Ten zysk z kwiatów okazał się dwa razy większy! Super! Te szklarnie to była dobra decyzja. A ty, co tak tu siedzisz beczynnio? Nie pamiętasz, że w każdej minucie bez pracy ucieka nam zysk?!

– Wiktor! – krzyknęłam tak głośno, że sama się tym zdziwiłam, bo czułam się jak dętka, z której wypuszczono powietrze. – Wiktor! Jeżeli usłyszę tu jeszcze raz słowo ZYSK, to się z tobą rozwiodę! Mówię całkiem poważnie. Teraz musimy myśleć i modlić się, jak ODZYSKAĆ Jacka i czy Janek ODZYSKA sprawność w nogach! Na twoim zysku, na pieniądzach, świat się nie kończy! Rozumiesz?

Najlepszy sejf na zyski

Myśl o zysku

*powinna być daleka od wszelkiej
prawdziwej sztuki (lekarskiej)*

Klemens Janicki

Z jednej strony cieszyłam się na to koleżeńskie jubileuszowe spotkanie, a z drugiej – jakoś się go bałam... Minęło przecież trzydzieści lat od naszego lekarskiego dyplomu. Przez sześć lat studiów zżyliśmy się ze sobą. Część z nas nie dożyła do końca z różnych powodów. Dziewczyny, po wyjściu za mąż, w kilku przypadkach za kolegę z grupy, szły na urlopy macierzyńskie, niektórzy „nie wyrabiali” i polegli na zaliczeniach czy egzaminach, a Wiesiek – najprzystojniejszy chłopak na roku – zginął tragicznie w wypadku samochodowym...

Umówiliśmy się w „Medyku” – lokalu sąsiadującym z naszą Alma Mater. W czasie studiów

wpadaliśmy tam między zajęciami na bigos, fasolkę po bretońsku (poezja w gębie) czy na schabowego lub talerz pomidorówki...

Pan Adam, właściciel „Medyka”, chętnie wysłuchiwał studenckich opowieści itp. wrażeń z prosektorium czy sal szpitalnych, żałował tych, którym nie poszło na zaliczeniu, a poza tym nigdy nie odmówił zgłodniałemu żakowi stawy, nawet wtedy, gdy miał puste kieszenie. Pamiętam, że raz byłam w takiej sytuacji i zapytałam go, czy nie boi się, że splajtuje, gdy nie będzie pobierał stosownych kwot od konsumentów, ale uśmiechnął się tylko i powiedział, że Pan Bóg zatroszczy się o jego zyski, bo w niebie liczy się tylko to, co dałeś innym.



Ta prawda, usłyszana przed wielu laty, stała się najważniejsza i w moim życiu...

Ciekawe, jak wyglądamy w realu po tylu latach! Czy się poznamy? Zdjęcia czy filmiki w sieci z pewnością nie dają pełnego i wiarygodnego wizerunku. Przed spotkaniem zajrzałam na kilka profili kolegów i koleżanek w mediach społecznościowych, ale... Czytałam gdzieś niedawno, że ludzie tam idealizują swoją osobę – kobiety kłamią na temat wieku, wagi, koloru włosów (siwizna nie jest trendy), a mężczyźni często dodają sobie majątku, zatajają stan cywilny, chwalać się super-samochodem (pożyczonym na sesję zdjęciową od sąsiada czy kuzyna).

Do „Medyka” nie mam daleko, poszłam więc pieszo. Na parkingu przed lokalem stał rząd wypasionych samochodów różnych światowych marek. Zastanawiając się, czy to „nasze” pojazdy, weszłam do środka. W holu obok szatni stał baner z napisem: „Spotkanie po 30 latach – sala kominkowa”. Wnętrze w niczym nie przypominało tej jadłodajni sprzed lat. Gdy umarł pan Adam, „Medyka” odziedziczył jego syn Rafał – dowiedziałam się od szatniarki. Całkowicie zmienił wystrój i dobudował dwie sale konferencyjno-bankietowe.

– Interes idzie wspaniale, pan Rafał dorobił się fortuny. Jest jednym z najbogatszych ludzi w naszym mieście – referowała z dumą, że ma takiego szefa. – Płaci całkiem przyzwoicie, ale... – zawiesiła na chwilę głos – szkoda mi pana Adama! Jego syn widzi tylko pieniądze, zyski, a nie człowieka. Właściwie to – poprawiła się – widzi w nim klienta, który jest „dojną krową” i z którego trzeba wycisnąć jak najwięcej kasy! Oj, przepraszam, że panią doktor zatrzymuję, sala kominkowa jest na prawo, drugie drzwi – odpowiedziała w końcu na moje pytanie.

Uchyliłam tylko nieznacznie wskazane drzwi i...

Przy stole siedziało już kilkanaście osób. To jest Włodek, to Magda, ta rudowłosa to chyba Anka (dawna blondynka), ten łysy to na pewno Kazik, bo już na studiach miał wysokie czoło... Stałam jeszcze przez moment, rozpoznałam kilka osób, ale nie wszystkie. Lata robią swoje – pomyślałam z nostalgią i weszłam do środka.

– O, Marta! – zawołała Magda. – Czekamy na ciebie i jeszcze na Wandę, Marysię, Romana i Przemka.

– Marta! Nic się nie zmieniłaś przez ten czas! – stwierdził Kazik.



– To chyba źle, bo powinnam się zmienić na lepsze – zażartowałam. – Witajcie, kochani!

– Marta, a dlaczego nie ma cię na Facebooku, Instagramie, dlaczego nie masz swojej strony? Tak się utajniłaś! My wszyscy mamy, zaglądamy tam, wiemy o sobie wiele. Nie rozumiem, jak można w XXI wieku nie zaistnieć w Internecie. To tak, jakby się nie żyło! Prawda? – Włodek powiódł wzrokiem wzdłuż stołu, szukając potwierdzenia dla swoich tez. Wszystkie głowy skłoniły się na „tak”.

– Ja znalazłam Martę tylko na stronie tutejszego szpitala klinicznego – Anka ratowała mnie, jak umiała. – Jest doktorem habilitowanym, kierownikiem Katedry Położnictwa i Ginekologii!

– No coś ty, a nie masz prywatnej praktyki, gabinetu?

– Opowiesz nam zaraz wszystko o sobie, jak na spowiedzi – zarządziła Magda.

– No może przy deserze, bo właśnie kelner idzie w naszym kierunku.

– Dobrze! Trzymamy cię za słowo!

Zrobiło się trochę zamieszania, bo kelner nalewał wina, zbierał zamówienia, w międzyczasie dobili do nas pozostali koledzy oraz Wanda (piękna jak zwykle).

Marysia przysłała SMS-a do Ani, że niestety musiała zastąpić chorego kolegę na dyżurze.



– Ot, taki jest los lekarza – stwierdził filozoficznie Kazik.

Czekając na danie główne, rozmawialiśmy luźno o różnych sprawach, głównie zawodowych i prywatnych. Włodek jest internistą i dyrektorem szpitala. Chętnie opowiadał o swojej rodzinie – żona, znana aktorka, jeden syn studiuje w Meksyku, drugi w Oxfordzie, córka chodzi do prywatnego, renomowanego liceum. Mieszkają w ekskluzywnej dzielnicy, w pięknej willi z ogrodem.

– Wyobrażacie sobie, ile kosztuje jej utrzymanie? A synowie, a „dziewczyny”? Zarabiam sporo, mam też gabinet, ale to mało przy takiej gromadzie. Rozumiecie więc, że muszę starać się o dodatkowe wynagrodzenie.

– Masz chyba dodatek funkcyjny za dyrektorstwo? – zapytała Magda.

– To dosłownie parę groszy – zaśmiał się ironicznie Włodek. – Ja nie o tym mówię, ale np. o sytuacjach, gdy organizuję komuś szybki termin operacji, gdy właściwa firma wygrywa przetarg na remont dachu, gdy zapisuję pacjentowi lek polecany przez firmę farmaceutyczną, dajmy na to X, co prawda dużo droższy niż odpowiednik firmy Y, z którą nie nawiązałem biznesowych znajomości. Mówię wam, czysty zysk!



– No nie wiem, czy to rzeczywiście „czysty” zysk – podsumowałam. – Uważam, że nawet „brudny”.

– No coś ty, Marta – odezwał się głosem niedopuszczającym sprzeciwu Kazik. – Przecież wszyscy tak robią!

– I to ma być usprawiedliwienie? Kaziu, co ty wygadujesz...?

Ale moje kolejne argumenty zagłuszyły głosy popierające Włodka i Kazia. Popatrzyłam na rozpalone twarze moich koleżanek i kolegów, i... zrobiło mi się bardzo, bardzo smutno. A może to jest tylko skutek lampki wina?

Kelner pojawił się z półmiskami we właściwym momencie. Zajęliśmy się konsumpcją. Anka koniecznie chciała uzyskać przepis na łososia w jarzynach i na schab po indiańsku, ale kelner z uśmiechem zasłaniał się tajemnicą zawodową. Potrawy rzeczywiście były wyśmienite.

Siedziałam między Wandą a Przemkiem, który bardzo chciał mnie przekonać do argumentacji Włodka. Opowiadał mi o swoich pacjentach, którzy są finansowo „wdzięczni” za udostępnienie namiarów do bardzo dobrych (to znaczy jego znajomych) rehabilitantów, a i rehabilitanci odwdzięczają się za „właściwych” pacjentów.

– To są często osoby starsze, samotne, które bez gadania podpisują rehabilitantowi z NFZ większą liczbę godzin przeprowadzonych ćwiczeń. Co prawda raz czy dwa opiekunka pacjenta protestowała, gdy rehabilitant wychodził grubo wcześniej, ale czekolada czy bombonierka załatwiły sprawę. I co? To jest źle zorganizowane? A i pacjenci są często zadowoleni, że nie muszą się wysilać, a tak między Bogiem a prawdą, to i tak nic im już nie pomoże. To wszyscy na tym zyskują, prawda?

– No, Przemek – udało mi się wtrącić – Pana Boga to ty nie mieszaj do swoich niecnych proce-

derów. Naprawdę nie widzisz, ile tu złego? Co z tego, że jesteś cenionym ortopedą, co z tego?

– Oj, Marta, nie bądź małostkowa! Ty oczywiście nie robisz podobnych przekrętów? Bo widzę, że tak oceniasz nasze metody wyjścia na swoje. To chyba trzeba cię nazywać świętą Martą? Ale zobaczymy, co powiesz o sobie, obiecałaś przecież, że zrobisz to „na deser”.

Kiwnęłam potakująco głową, chociaż zaczęłam wątpić, czy nie będzie to czasami głos wołającego w puszczy... Kątem oka zauważyłam, że Wanda niewiele je i siedzi jakaś zamyślona.

– Wanda, co z tobą? – zagadnęłam ciepło, a gdy odwróciła głowę w moją stronę, zobaczyłam, że oczy ma pełne łez. – Powiedz mi, co się dzieje? – poprosiłam cicho.

– Wiesz – odezwała się stłumionym szeptem – ja w pełni popieram ciebie, bo też uważam, że te pseudozyskowe zachowania są nieetyczne i właściwie powinny być zgłoszone do prokuratury. Ale musiałabym też zadenuncjować swojego męża. Olek jest stomatologiem, studiował w Toruniu, a poznaliśmy się w czasie wakacji na Krecie jakieś dwadzieścia lat temu. Jest dobrym mężem, wspinałbym ojcem – mamy dwóch synów, ale niestety też chce dorabiać w niewłaściwy sposób. Wiem,

że zgłaszał do NFZ usługi stomatologiczne, których nie wykonał lub zrealizował prywatnie, za opłatą. Kiedyś w przypływie szczerości pochwalił się, że dopuścił się blisko trzystu takich oszustw. Jest głuchy na moje uwagi i prośby. Teraz remontujemy dom i każda złotówka się przydaje, ale...

Nagle rozległ się głośny dźwięk – to Włodek stukał łyżeczką w kieliszek. Gdy rozmowy ucichły, wygłosił toast okolicznościowy, po czym spojrzał znacząco w moją stronę.

– Teraz posłuchamy Marty – zapowiedział.

Zostałam więc wywołana do tablicy.

– Mieszkam nadal w pobliżu naszej Akademii, w domu, który odziedziczyłam po zmarłych rodzicach. Mam męża Marka, który jest nauczycielem historii w liceum i trójkę dzieci – dwóch synów bliźniaków, Piotra i Pawła, którzy poszli już „na swoje”, oraz dziesięcioletnią Karolinę. Mieszka też z nami teściowa, schorowana i praktycznie niepełnosprawna. Po studiach i obowiązkowych stażach dostałam propozycję pracy na stanowisku asystenta w Katedrze Ginekologii i Położnictwa. Było to spełnienie moich marzeń, bo zawsze chciałam robić specjalizację w tym kierunku. Gdy w rok po ślubie z Markiem okazało się, że jestem w ciąży, i to bliźniaczej – byliśmy bardzo szczęśliwi.





Jednak na którymś kolejnym badaniu lekarz przekazał nam, że jeden z chłopców rozwija się prawidłowo, ale drugi nie rośnie proporcjonalnie do okresu ciąży. Po przedwczesnej cesarce Pawełek był w dobrym stanie, ale Piotruś trafił do inkubatora, przeszedł szereg specjalistycznych badań i lekarze nie dawali mu dużych szans. „Jeżeli przeżyje, to będzie prawdopodobnie niepełnosprawny i psychicznie opóźniony” – brzmiała opinia lekarzy. Przeczytałam wtedy chyba wszystko, co napisano o podobnych przypadkach i coraz

bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że lekarze mają rację. Dobiła mnie jeszcze moja mama, która przyjechała zobaczyć wnuki i przywiozła dwie tiulowe czapeczki. Pawełek wyglądał w niej uroczo, na Piotrusia musiała poczekać. Mama szepnęła mi, żebym sprawdzała, czy czapeczka robi się za mała, bo jeżeli nie, to znaczy, że Piotrusiowi głowa nie rośnie, a to nie wróży nic dobrego. W tym trudnym czasie modliliśmy się wytrwale o uzdrowienie synka. Modliło się w tej intencji też duże grono naszych przyjaciół, krewnych, którzy przekazali prośbę o modlitwę kolejnym osobom... Dzisiaj Piotr ma 180 cm wzrostu, czapeczka pasuje mu tylko na jedno ucho. Skończył z wyróżnieniem studia na Wydziale Architektury i pracuje jako asystent w Katedrze Budownictwa Sakralnego. Zbiera materiały do pracy doktorskiej.

W tym momencie Włodek parsknął śmiechem i wykrzyknął z ironią:

– To ty teraz leczysz przez modlitwę? To po co studiowałaś tyle lat? Wystarczyło nauczyć się paciorka.

Włodek równie szybko jak zaczął, tak i skończył swoje wywody, napotykając ganiący wzrok słuchaczy.

– Cicho bądź – zasyczał Kazik. – Nie umiesz uszanować uczuć Marty. Ja wiem, co przeżywają rodzice, gdy dziecko jest poważnie chore! Moja córeczka zmarła w wieku trzech lat...

– I właśnie dlatego pracuję naukowo, żeby zapobiegać takim sytuacjom, pomagać, na ile współczesna medycyna pomóc może. Oczywiście modłę się za swoich pacjentów – za tych, którzy się jeszcze nie narodzili, za ich mamy i ojców. Jako ginekolog-położnik ratuję dzieci zagrożone aborcją, podejrzanę o choroby genetyczne, pocieszam matki, dodaję im otuchy w czasie porodu; zresztą chyba wam, lekarzom, nie muszę tego tłumaczyć. Największym szczęściem (a waszym językiem – zyskiem) jest dla mnie to, że dziecko jest zdrowe, kochane przez rodziców. Pieniądz – zysk, o jakim mówiliście, nie jest najważniejszy! Pracuję też społecznie w poradni dla narzeczonych i małżonków, oraz w Domu Samotnej Matki, i do głowy by mi nie przyszło, żeby brać za to pieniądze i jeszcze do tego kombinować, jak zarobić na ludzkim szczęściu lub nieszczęściu. Parę lat temu jeden ze znanych mi ginekologów zachęcał mnie, żebym dołączyła do grupy sześciu kolegów z tzw. podziemia aborcyjnego. Wynajmowali oni gabinet w pewnej willi, dyskretnie położonej, i brakowało

im jednej osoby, bo każdy z nich przyjmował przez jeden dzień. Obiecywał nawet, że dostanę gabinet na niedzielę, bo dużo jest chętnych pań na zabieg właśnie w wolnym dniu. „Zysk gwarantowany, pracujesz na uczelni, więc masz dobrą renomę” – kusił mnie szatan ustami starszego kolegi. Jak się domyślicie, kategorycznie odmówiłam. I jeszcze jedno – pytaliście, dlaczego nie mam konta na Facebooku itp. Otóż, szkoda mi na to czasu, nie rozpowszechniam swojego wizerunku w Internecie. Jest tyle wspaniałych rzeczy, które w czasie wolnym można robić. Chociażby grać w „Chińczyka” z Karolinką. Ona to uwielbia!

– Marta, a powiedz jeszcze, proszę, parę słów o Pawle, co robi, czy...

– Wanda, daj już spokój! Słuchajcie, właśnie podejrzalem, że giełda szaleje w związku z tymi wczorajszymi wydarzeniami – Włodek wyraźnie zmartwiony wymachiwał smartfonem. – Wiecie, ile kasy tracimy? Coś strasznego. Ja dziś na pewno nie usnę w nocy z tych nerwów! Co robić? Co robić, żeby coś jeszcze zostało na naszych kontaktach?

– No widzicie, gdzie najlepiej lokować „kasę” – ja gromadzę skarby w niebie, gdzie ani mól, ani



rdza nie zniszczy, ani złodzieje nie zabiorą. Mówię wam – to jest najlepszy sejf. I mogę spać spokojnie. A „zysk” rośnie i rośnie...

Czy straty mogą zamienić się w zysk?

Zyski mierzy się wielkością strat

Ewa Radomska

Zobacz, Kamil! Zajrzałam na stronę rodzina.pl, bo Zojka dzwoniła, że opublikowali tam jej tekst na konkurs „Małżeństwo z miłości, czy...” i wygrała nagrodę: lodówkozamrażarkę najnowszej generacji! Mówiła, że ten konkurs trwa do końca lipca i dotychczas nikt nie wygrał jeszcze głównej nagrody, jaką jest dwutygodniowa wycieczka po stolicach Europy dla dwóch osób. Super, prawda? Może spróbujemy napisać o historii naszego małżeństwa, jak myślisz?

– Moniko! Nie przeszkadzaj mi, widzisz, że system mi się zawiesił, a mam umówioną rozmowę na Teamsie. Wiesz dobrze, że ja nie mam lekkiego pióra. Nie mam też czasu i ochoty na wspomnienia. Pamiętaj – czas to pieniądz. Moja firma musi wykonywać zlecenia oraz przynosić

zyski i to niemałe! Jak chcesz, to sobie pisz, ale dopiero wtedy, gdy skończysz to zlecenie dla LEX-a. Wczoraj dzwonili już drugi raz z ponagleniem. Bardzo im zależy na tym oprogramowaniu, bo konkurencyjna firma wdrożyła już podobne i podbiera im klientów.

– Przecież termin realizacji umowy to koniec czerwca. Kamil, wiesz, że ja pilnuję terminów.

– No tak, ale obiecali duże pieniądze, jeżeli będą je mieli „na już”, nawet można powiedzieć – bardzo duże pieniądze!

– Ty tylko o pieniądzach myślisz! Zawsze taki byłeś! I teraz się tak zastanawiam, czy nasze małżeństwo było zawarte z miłości?

Kamil spojrział na mnie nieobecny wzrokiem i krzyknął:

– Mam w końcu połączenie na Teamsie. Zrób to oprogramowanie dla LEX-a, a potem sobie pisz. Byle prawdę! Sprawdzę, zanim wyślesz do redakcji. I nie myśl sobie, że jak nawet wygrasz tę wyścigkę, to pojedziesz na nią ze mną. Dwa tygodnie mam wykreślić z życiorysu? Wiesz, ile mógłbym w tym czasie zarobić?

O Boże! Za co ja kocham tego Kamila? Przecież to chodzący „pieniądz” – przeleciało mi przez głowę.



Przez tyle lat naszego małżeństwa nie udało mi się zmienić jego kryteriów wartości. Przed ślubem miałam chyba na oczach różowe okulary, jak wszyscy zakochani! Bo ja go pokochałam od pierwszego spojrzenia. Pamiętam, jak zjawił się w naszej grupie studenckiej na początku trzeciego roku. Wszystkie dziewczyny chciały, żeby je zauważył, umówił się na spotkanie. Ja nie robiłam nic szczególnego, postawiłam sobie za cel, aby nie stracić pozycji najlepszej studentki na roku. A na naszym kierunku – „Informatyka” na polibudzie – nie było to łatwe. Może Kamil na to zwrócił uwagę – chciał mieć dobrego programistę w planowanej rodzinnej firmie z branży IT? Zobaczył we mnie pracownika, a nie kobietę? Ej, chyba nie – odrzuciłam ten wą-

tek, bo przecież było nam ze sobą dobrze! I jeszcze teraz Kamil ma dobre dni! Ale... ziarenko niepokoju zostało.

Ślub wzięliśmy zaraz po obronie magisterki. Krótco potem Kamil zarejestrował firmę IT-complex, w której zostałam zatrudniona na stanowisku programisty. Zaraz też wysłał mnie na szereg kursów, bo mój dyplom – bardzo dobry z wyróżnieniem, mu nie wystarczał. On też jeździł często na różne szkolenia, nawiązywał kontakty z firmami w Polsce i Europie. Bywały tygodnie, że praktycznie się nie widywaliśmy. I gdy w pierwszym roku małżeństwa nie mogłam zająć w ciąży, sądziłam, że to dlatego. Ale gdy mijał kolejny rok i kolejny, a tu nic, zaniepokoiłam się nie na żarty. Postanowiłam poważnie porozmawiać o tym z Kamilem. Zaraz na początku bardzo się zdenerwował, stwierdził, że to nie jego wina, on sprawdził swoje „zdolności” w tym kierunku jeszcze przed ślubem.

– Jak mam to rozumieć? – zapytałam wtedy z duszą na ramieniu, bo to oznaczałoby, że wina leży po mojej stronie. – Może pójdziesz ze mną i przebadasz się powtórnie?

– Ja się nie badałem i nie będę się badał! – oznajmił kategorycznie Kamil. – Wybrałem lepszy sposób!

Wolałam nie myśleć, jaki... Zwłaszcza, że zaraz dodał:

– To i lepiej, że nie możesz mieć dzieci. Z nimi to tylko kłopoty! A firma jeszcze nie działa na pełnych obrotach, kto by się teraz zajmował pieluchami, kolkami, kaszkami itp.? A ile takie dziecko kosztuje! Strach pomyśleć. Zżarłoby wszystkie zyski, jakie z takim trudem wypracowuję. O nie! Nawet o tym nie myśl.

Może Kamil ma rację – pomyślałam wtedy. Nie wiadomo, jak bym się czuła w ciąży, a potem nieprzespane noce, nerwy, jak z dzieckiem coś by się działo... Trudno byłoby połączyć to z pracą zawodową!

Mijały kolejne lata, firma bardzo dobrze prosperowała, ale ja dalej nie byłam mamą. W tajemnicy przed Kamilem zrobiłam badania i... wszystko w moim organizmie było w porządku. No, może z wyjątkiem psychiki, bo w tej sprawie to tylko ona mogła być przyczyną bezpłodności – z jednej strony pragnienie zajścia w ciążę, ale z drugiej – strach przed reakcją męża. Coś w tym jest! Kamil przecież bez przerwy liczy zyski i straty, a dziecko na pewno byłoby liczone po stronie strat!

Nie pamiętam już, jak wpadłam na pomysł adopcji dziecka starszego, takiego, co już pomoże w domu i nie przysporzy tylu problemów co niemowlak. Od komisji lekarskiej uzyskałam zaświadczenie, że jestem bezpłodna. Oczekiwałam na właściwy moment – na zrobienie rocznego bilansu. Kamil wrócił z biura w świetnym humorze. Rzucił dowcipami na prawo i lewo. Na moją propozycję zgodził się niespodziewanie prędko. Podpisał, co trzeba, uczestniczył w obowiązkowych rozmowach i szkoleniach, i tak za parę miesięcy siedmioletni Łukasz trafił pod nasz dach. Kamil okazał się jednak humorzystycznym ojcem. Zapomniał chyba o takim powiedzeniu: małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot.

Łukasz nie był wcale miłym i superzdolnym chłopcem. Niemal każdego dnia dawały znać o sobie jego negatywne przeżycia z wczesnego dzieciństwa: ojciec – narkoman, brat – awanturnik, najstarsza siostra – złodziejka. Matki nie znał, umarła przy jego narodzinach. Domem przez pierwsze lata opiekowała się babcia, ale nie dała rady ogarnąć takiej rodzinki. Łukasz trafił do domu dziecka, gdzie – z racji rudych włosów i drobnej postury – był wyszydzany i szantażowany przez innych z bidula.



Poznaliśmy jego historię w czasie procedury adopcji, ale, przynajmniej ja, tak już byłam spragniona macierzyństwa, że nie doceniłam wagi problemów. Wydawało mi się, że razem z Kamilem – damy radę. Ale mój mąż nie polubił Łukasza. Kiedyś w przypiływie szczerości powiedział mi, że jest rozczarowany. Myślał bowiem, że będzie to wesoty, inteligentny chłopak, z którym pobiega po parku, pogra w piłkę, usiądzie z nim do komputera, nauczy go programowania... A to taka ofiara losu!

Nie chciałam nawet pomyśleć, że jedynym powodem, dla którego Kamil zgodził się na adopcję, była chęć posiadania, przynajmniej za parę lat,

dobrego pracownika w IT-complexie. Dodam jeszcze, że gdy policzył, ile miesięcznie „kosztuje” nasz syn, to w domu zapanowały ciche dni. A „straty” były rzeczywiście spore. Dużo pieniędzy wydawałiśmy na rehabilitację Łukasza, na wizyty u logopedy, psychologa, psychiatry, na korepetycje, bo niewiele nauczył się w zerówce.

Ja pokochałam Łukasza bezwarunkowo i nieba bym mu przychyliła! Przez kolejne tygodnie i miesiące widziałam, jak się zmienia, jak stara się pokazać z jak najlepszej strony, zwłaszcza ojcu. On wprost żebrał o jego miłość, uśmiech, uznanie, ale Kamil traktował go jako zło konieczne, jako życiową pomyłkę. Bardzo mnie to bolało, ze strachem myślałam o przyszłości. Stawałam się coraz bardziej nerwowa, rano nie miałam siły, żeby wstać i zmierzyć się z kolejnym dniem. Często miałam migrenowe, uporczywe bóle głowy, pojawiły się nudności i wymioty. Kamil patrzył na mnie krzywym okiem, bo nie byłam w stanie pracować w firmie, a jeszcze do tego brałam pieniądze na leki, żeby móc funkcjonować. Wciąż odzywał się w nim groźny księgowy...

Znajoma lekarka, którą poprosiłam o poradę, jak tylko spojrzała na mnie, zapytała... czy nie jestem w ciąży.

– No coś ty, Mirka, przecież mam zaświadczenie lekarskie o bezpłodności. Kamil to zaświadczenie oprawił w ramkę i postawił na stoliku nocnym. Traktuje je jako „przepustkę” do sypialni zawsze wtedy, gdy ma na to ochotę. Wyraźnie się cieszy, że nie musimy już uważać, jakie to są akurat dni, czy też zabezpieczać się na różne sposoby.

Mirka machnęła tylko ręką, prędko wyjęła z lekarskiej torby test ciążowy i za parę minut obie wpatrywałyśmy się z niedowierzaniem w dwie wyraźne kreski.

– Takie rzeczy się zdarzają, często właśnie wtedy, gdy kobieta przestaje już nerwowo liczyć na poczęcie.

– Może ten test jest niewiarygodny, przeterminowany – pytałam nieskładnie, ale w głębi serca wierzyłam, że TAK, że noszę pod sercem nowe życie! Boże, dzięki Ci – wołało wszystko we mnie. Ale jak zareaguje Kamil?

Po wizycie u ginekologa i potwierdzeniu ciąży zdecydowałam, że powiem o tym mężowi od razu, nie będę nic ukrywać, kombinować. A jak każe mi usunąć ciążę, no bo to kolejny „darmozjad” w domu? – myślałam z przerażeniem.

Ale Kamil oszalał z radości, gdy usłyszał, że będziemy mieli dziecko! Wprost go nie poznawa-



łam. Dziękowałam Bogu za jego przemianę. Tak się cieszył! Z sypialni usunął test o bezpłodności, a postawił pierwsze zdjęcie USG z naszym maluchem.

Niestety jego stosunek do Łukasza nie zmienił się. Nawet się pogorszył, bo – jak mi powiedział: – Po co on nam teraz, gdy będziemy prawdziwymi rodzicami? Może twoja mama by go wzięła? Jest na emeryturze, ma czas i pieniądze dla wnuka – dodał ironicznie. Zbeształam go za te słowa. Nie wracaliśmy więcej do tematu, bo Kamil spostrzegł, jak ja się denerwuję. A chciał, żebym urodziła zdrowe dziecko.

I tak się stało! Paula urodziła się w terminie. Była zdrowa i śliczna. Przez całą ciążę przygoto-

wywałam Łukasza na jej przyjście na świat. Bałam się, że będzie zazdrosny i jeszcze bardziej zamknie się w sobie. Ale Łukasz był bardzo ciekawy, jak ta siostra będzie wyglądać, czy będzie się z nim bawić, a później był dumny z tego, że jest starszym bratem. Starłam się okazywać mu dużo ciepła i widziałam, że z dnia na dzień spływają z niego stare, złe wspomnienia z domu rodzinnego.

Minął rok. Paula dreptała już po domu, Łukasz przygotowywał się do Pierwszej Komunii Świętej. Życie toczyło się, można powiedzieć, zwyczajnie, jak w wielu rodzinach. Do pełni szczęścia brakowało mi jednak czegoś, bo Kamil wciąż traktował Łukasza na dystans, a za Paulą szalał. Widziałam, jak chłopiec chce pokazać, że jest dobrym synem, wzorowym uczniem... Ale Kamila nie interesowała jego opowiadania o szkole, nie pochwalił go za to, że zaczął odnosić sukcesy w sporcie, bo wygrał szkolny wyścig rowerowy. Coś tam tylko mruknął, że rower był bardzo drogi, to wypada, żeby się starał go „odpracować”. Na zwycięski dyplom nawet nie popatrzył, gdy dowiedział się, że Łukasz nie dostał załącznika finansowego w nagrodę.

– No przecież ja tylko wciąż na niego wydaję, i to niemałe pieniądze, a jakie korzyści za tym idą? Zero plusów, same minusy, żadnych profitów!

Nie mogłam już tego słuchać! Gdyby mi ktoś opowiadał o podobnych reakcjach, chyba bym nie wierzyła, a to była moja codzienność.

Któregoś dnia powiedziałam w końcu: – Boże, zajmij się tym! Ja już nie mam siły. Żadne rozmowy z Kamilem nie skutkują. A Łukasz coraz bardziej cierpi, bo już dużo widzi i rozumie. Jeszcze znienawidzi ojca lub ucieknie z domu. Albo odbije sobie brak miłości na Pauli, którą ojciec faworyzuje.

Maj był wyjątkowo ciepły tego roku. W sobotę, gdy kończył się tzw. Biały Tydzień dla dzieci, które przystąpiły do Pierwszej Komunii Świętej, zabrałam Łukasza i Paulę na wycieczkę do pobliskiego lasu. Pomimo tego, że uroczystość pierwszokomunijna wypadła wspaniale, miałam po tym dniu „zgagę”. W przeddzień pokłóciłam się z Kamilem, bo nie kupił Łukaszowi zaplanowanego smartfona.

– Dlaczego?! – wołałam wściekła, że w takim dniu Łukasz będzie zawiedziony. Większość kolegów miała już komórki i podśmiewali się z niego. Był wtedy późny sobotni wieczór, sklepy zamknięte... – Dlaczego?

Właściwie było to pytanie retoryczne. Bo nawet bez odpowiedzi wiedziałam, że komórki były we-



dług niego zbyt drogie. Kamil nie poszedł z nami do kościoła, bo w tym czasie umówił się z księgową, żeby ustalić strategię rozwoju firmy. Podobno księgową nie mogła przyjść innego dnia. Widząc minę Łukasza, skłamałam, że ojciec zamówił komórkę przez Internet, ale nawalił kurier, i zaraz w poniedziałek pojechałam do marketu.

– Jak byłeś w szkole, kurier przywiózł twój prezent od ojca. Rozpakowałam przy dostawie, bo trzeba było sprawdzić, czy nie jest uszkodzona – kłamałam dalej jak z nut. Wybacz mi, Boże. – Zobacz, jaki wypasiony smartfon. Podoba ci się, Łukaszku? Będziesz wiedział, jak go uruchomić i używać?

– *Mamo, to wszyscy wiedzą – odparł mój „dorosły” syn.*

No tak, młode pokolenie ma to już w genach, czytałam o tym kiedyś. Musiałam jeszcze uprzedzić Kamila, żeby się nie zdziwił, gdy Łukasz rzuci mu się na szyję z podziękowaniami...

Ale dosyć wspomnień, trzeba się cieszyć pięknym wiosną. Z trudem znalazłam miejsce na leśnym parkingu. Trochę spacerowaliśmy, upiekliśmy kielbaski na dostępnych tam grillach.

– *Szkoda, że taty nie ma z nami, ale zrobiłem dużo zdjęć i mu prześlę, na pewno się ucieszy. – W Łukaszu obudziła się pasja fotografowania wszystkiego wokół.*

– *Teraz nie przesyłaj zdjęć, bo tata jest na naradzie właścicieli firmy. Zastanawiają się, jak zwiększyć swoje zyski. Pokażesz mu, jak będziemy w domu, dobrze? – Samo słowo „zysk” powodowało, że dostawałam gęziej skórki!*

Na polanie robiło się coraz bardziej tłoczno. Postanowiłam, że będziemy wracać okrężną, boczną drogą, żeby nacieszyć się jeszcze ciszą i pięknymi widokami...

– *Moniko! Piszesz i piszesz, zrób sobie przerwę, bo znów rozboli cię głowa. Jesteś jeszcze*

przecież słaba i nie możesz się przemęczać. Chodź na taras, już wołam dzieciaki na pyszne lody!

– *O Boże! Tak się zamyśliłam, że straciłam poczucie czasu. A to przecież pełnia lata!*

Lody były pyszne! A sam widok naszej czwórki, siedzącej razem w najlepszej komitywie, wydawał mi się snem! Co się zdarzyło, że..., że jest to możliwe?

– *Moniko! Dzisiaj jest już 29 lipca, a konkurs, na który piszesz ten tekst o nas, trwa tylko do końca miesiąca. Zdążysz? Martwię się, że się tym zamęczysz. Dużo ci jeszcze zostało?*

– *Kamil, masz rację. Przejmij, proszę, pałeczkę i opisz ostatnie wydarzenia. Ja chyba nie dam rady. Nie mam siły na TE wspomnienia...*

Tej pamiętnej soboty byłem na biznesowej naradzie i w głowie miałem tylko słupki, wykresy wyników firmy, zbyt wolno pnące się w górę. Co robić, żeby zwiększyć zyski? Koledzy kombinowali na wszystkie sposoby, czasem na granicy (lub nawet pod) prawa. W pewnym momencie zadzwonił mój telefon. Łukasz – zobaczyłem na wyświetlaczu. Co ten smarkacz sobie myśli, ja tu pracuję! I odrzuciłem kilka połączeń od niego. Pikały też SMS-y, a ponieważ spodziewałem się około 14.00



wiadomości od swojego doradcy bankowego, otworzyłem ostatnią wiadomość: „Tato, mieliśmy wypadek. Jesteśmy na izbie przyjęć, w szpitalu na świerkowej”.

Nie pamiętam już, jak dojechałem do szpitala. Na szczęście w sobotę nie było dużego ruchu. Monikę zabrali na rezonans głowy, Łukasz i Paula siedzieli na sali obserwacyjnej pod opieką pediatry, która od razu mnie uspokoiła, że dzieci są zdrowe, nie doznały żadnych obrażeń.

– Ma pan bardzo dzielnego syna, bo gdyby nie on, to...

– Ale, pani doktor, co się właściwie stało? Jak się czuje moja żona?

– Żona jest przytomna, ale diagnostyka trwa. Trzeba wykluczyć wewnętrzne urazy. Mam nadzieję, że wkrótce dojdzie do siebie. A co się stało? Pijany motocyklista wyjechał nagle z podporządkowanej leśnej drogi, prosto w bok waszego samochodu, od strony kierowcy. Żona chciała go wyminąć i z całym impetem uderzyła w drzewo. Straciła przytomność. Łukasz zachował zimną krew, wyskoczył z samochodu, błyskawicznie wyjął fotelik z Paulą i postawił go w pewnej odległości od miejsca zdarzenia. Z pomocą motocyklisty, który na tyle oprzytomniał, że trzymał się na nogach, wyciągnął z samochodu mamę i zadzwonił pod 112. Za chwilę motor stanął w płomieniach, a od wybuchu paliwa zapalił się samochód. Gdy przyjechała straż, zastała już zgliszcza, a karetki...

– Ale przecież to było w lesie. Łukasz, jak ratownicy was tam znaleźli? Co powiedziałeś? – pytałem nerwowo, tuląc w ramionach Paulę. Łukasz też przywarł do mnie, bo chyba dopiero teraz odreagowywał tamte chwile.

– Tato, o numerze 112 mówił policjant na lekcji wychowawczej. Przypomniałem też sobie, co radził nam ksiądz katecheta: jak nie wiecie, co zrobić, co powiedzieć w jakiejś sytuacji, to proście o pomoc Ducha Świętego. On wam poradzi! I tak

zrobiłem! Wtedy od razu zobaczyłem na skrzyżowaniu dróg duży drewniany krzyż, a przy nim kapliczkę z figurką Matki Boskiej. Pan, który odebrał telefon, ucieszył się i powiedział, że już trafią. I przyjechali! Potem dzwoniłem do ciebie, ale nie odebrałeś. Mama rano mówiła, że ciężko pracujesz.

I w tym momencie wszystko zrozumiałem. Nogi się pode mną ugięły. Gdyby Łukasz nie miał komórki... A ja mu pożalowałem pieniędzy, a potem nakrzyczałem na Monikę, że wydała na smartfona tyle kasy! A do tego za chwilę dowiedziałem się, że torebka Moniki spaliła się doszczętnie, podobnie jak saszetka z dokumentami i komórką właśnie, którą motocyklista trzymał w schowku motoru. Szanse na to, że ktoś będzie tamtędy przejeżdżał, były znikome, bo słyszałem, że tak tłumaczył się przed policjantem motocyklista: – Panie władzo, ale tamtędy nikt nigdy nie jeździł!

Łukasz okazał się wspaniałym, męznym facetem, a nie mięczakiem, na jakiego – moim zdaniem – wyglądał. Mam syna na medal! Boże, tyle lat zmarnowałem, odrzucając go! Liczyłem tylko „straty”, jakie miałem przez niego. Jak ja tak mogłem! A dzięki niemu to tragiczne wydarzenie ma szczęśliwy finał!



Po paru godzinach w szpitalu, wszyscy wróciliśmy do domu. Monika była jeszcze zszokowana, obolała, ale lekarz mówił, że trzeba spokoju i czasu, żeby przeszedł jej lęk przed prowadzeniem samochodu.

Przekonałem się, że zysk ma różne wymiary, nie tylko finansowe! I że straty mogą niespodziewanie przemienić się w zysk, wbrew zasadzie ekonomii!

– Moniko, skończyłem. Mogę wysłać tekst, czy chcesz jeszcze sama przejrzeć?

– Wysyłaj, tylko wyraźnie im napisz, że się wszyscy bardzo kochamy!

Następnego dnia wieczorem, dosłownie parę godzin przed upływem terminu konkursu, dostałem jeszcze PS:

Dzisiaj pojechaliśmy wszyscy na wycieczkę do lasu. Monika zapragnęła zobaczyć TO miejsce. Pani psycholog mówiła, że to może przyspieszyć dojście do równowagi. Monika dobrze pamiętała trasę przez las, którą jechała w maju, Łukasz też przypominał sobie sporo szczegółów, a zwłaszcza tamto skrzyżowanie, krzyż i kapliczkę. Nie było tam jednak żadnego krzyża ani kapliczki w promieniu co najmniej dwóch kilometrów...

Wyzysk – nieetyczną drogą do zysku

*Nie ma zysku w takim boju,
który czyni krzywdę bratu*
Wojciech Bogusławski

Orany, znów to kolegium, czy ta naczelną nie ma litości? – Jurek najwyraźniej był w złym humorze tego poranka.

– Przecież przyniosłem jej ekstratekst na weekendową rozkładówkę, to o co jeszcze chodzi? – zastanawiał się głośno Wojtek.

A Kaśka popatrzyła na kolegów i, naśladując naczelną, powiedziała:

– Słuchajcie, moi kochani, do roboty, tematy leżą przecież na ulicy!

Parsknąłem śmiechem, bo Kaśka rzeczywiście ma talent aktorski i atmosfera w pokoju stała się od razu lżejsza.

– Macie coś w zanadru, na czarną godzinę? – zapytał Hubert, ale wszyscy przecząco pokręcili głowami.

– No to będzie masakra – oznajmił odkrywco Jurek.

Ale naczelna była w niespodziewanie dobrym nastroju. Powitała nas promiennym uśmiechem i od razu – tak jak to miała w zwyczaju – przeszła do rzeczy.

– Słuchajcie, moi kochani... – Ale, ku naszemu zdumieniu, nie nastąpił tu sławetny ciąg dalszy o tematach leżących na ulicy. – Wydajemy numer specjalny naszego miesięcznika, na życzenie samego prezesa. I będzie to numer dwujęzyczny: polsko-angielski. Wojtek, nie bój się, że nie dasz rady, bo wiem, że z angielskim nie było ci „po drodze”. Prezes szuka nowych obszarów biznesowych, czyli kręgu nowych czytelników. Przed nami wielkie wyzwanie! Jeżeli mu sprostamy, mam zapewnienie prezesa, że zostaniemy tygodnikiem! I co wy na to? – zapytała naczelna, kończąc to wprowadzenie.

– No to szykuje się nowa robota – szepnął do mnie Hubert. Okazało się, że na tyle głośno, że czujne ucho naczelnej to wychwyciło i odbiła piłeczkę:



– Coś ekstraentuzjazmu nie widzę.

– Dlaczego pani tak sądzi? – Jurek chciał najwyraźniej zgasić zapalający się konflikt. – Porozmawiajmy może o tym, jaki miałyby być temat przewodni, bo to chyba najważniejsze, prawda?

Dyskusja była burzliwa i długa, ale minęły dwie godziny i byliśmy w punkcie wyjścia. Patrzyłem z przerażeniem na zegarek. Od godziny powinienem być już w domu. Moja córeczka była chora, a żona miała zaplanowane ważne spotkanie. W końcu nie wytrzymałem i mruknąłem w stronę naczelnej:

– To już zakrawa na wyzysk!

– No tak! Wyzysk! – naczelna się niespodziewanie rozpromieniła. – To jest nasz temat numer jeden! Koniec dyskusji! Na jutro przygotujcie szczegółowe tematy robocze, ja pomyślę również o całokształcie i przekażę informacje prezesowi. Kolejne kolegium jutro w samo południe.

Wieczorem usiadłem z laptopem przy kominiku i najpierw sprawdziłem, co to dokładnie jest wyzysk, bo miałem na ten temat dosyć osobiste, ale mgliste pojęcie.

Otóż, fachowe definicje mówią, że jest to przywłaszczenie sobie przez właścicieli, środków produkcji, owoców pracy bezpośrednich wytwórców, pracujących na ich rzecz pod naciskiem przymusu, np. ekonomicznego, pozaekonomicznego, społecznego, czyli ciągnięcie nieprawnych zysków z czyjejś pracy. Miewa on przymiotniki: bezlitosny, bezwzględny, brutalny, nieludzki... Zawsze jest krzywdzący kogoś, niesprawiedliwy i nieetyczny, a ma miejsce na skutek np. nadużycia władzy lub wykorzystywania danej osoby przez innych. Bywa, że z jakiejś osoby ktoś czyni użytek dla własnych celów, wykorzystując jej słabość... Z wyzyskiem wiąże się panująca bieda oraz wysoki stopień bezrobocia.

Tyle powiedziały mi definicje. Zagłębiłem się następnie w teksty szczegółowo omawiające problem wyzysku...

Wstałem z fotela po kilku godzinach, przygnieciony ogromem problemu, pełnego bólu, lęku, łez i upokorzeń. Wyzysk tak wielu kobiet i mężczyzn przerastał moje wyobrażenie. To będzie bardzo ciężka praca, ale warto ją podjąć. Niech czytelnicy dowiedzą się, znajdując w jednym numerze to, co człowiek może uczynić człowiekowi...

Na kolejnym kolegium redakcyjnym naczelna przepytowała każdego z nas, po czym z zadowoleniem stwierdziła, że odrobiliśmy zadanie domowe. Na koniec spotkania postawiła na biurku szklany słój, w którym były plastikowe pojemniczki, podobne do tych z jajek typu Kinder Niespodzianka.

I rzeczywiście zawierały... niespodzianki! Na polecenie szefowej każdy z nas wylosował jeden pojemnik. W środku były karteczki z nazwami krajów, w których mieliśmy poszukiwać przypadków wyzysku. Okazało się, że prezes nie poskąpił funduszy na nawet bardzo dalekie delegacje!

Ja – niestety – wylosowałem... Polskę. W pierwszej chwili byłem bardzo zawiedziony i zniechęcony. Gdzie ja tu znajdę wyzysk? Przecież



teksty, które czytałem, dotyczyły innych krajów – Afryki, Azji, Ameryki Południowej, no może jeszcze Włoch, czy Rosji. Ale Polski? No cóż – jak mus to mus, tematy podobno leżą na ulicy...

Pierwszy temat znalazłem nie tyle na ulicy, lecz na szosie, jeszcze w pobliżu miasta. Postanowiłem bowiem na początek pojechać do stolicy województwa, aby tam rozejrzeć się i poszukać problemów. Może po około pięciu kilometrach jazdy zobaczyłem zjazd w prawo na jakąś nową, nieznaną mi drogę. Na drogowskazie widniał tajemniczy napis: „Strefa ekonomiczna VXZ – produkcja podzespołów elektronicznych – 8 km”. Zobaczę

przy okazji, co to za nowe zakłady – pomyślałem i skręciłem w prawo.

Gdzieś na pierwszym kilometrze przyhamowałem, bo drogę tarasował uszkodzony chyba autobus. Światła awaryjne pulsowały, kierowca nerwowo palił papierosa i usiłował połączyć się z kimś przez komórkę, ale bez rezultatu. A na poboczu stało lub siedziało, tak na oko, przeszło sto kobiet równie podenerwowanych, i głośno o czymś rozmawiających między sobą.

Wysiadłem z samochodu, bo i tak przejazd drugim poboczem był bardzo ryzykowny, gdyż zaraz za nim było widać szeroki rów napełniony wodą.

– Co tu się stało? Czy mogę jakoś pomóc? – zapytałem kierowcę autobusu, który przestał właśnie wykrzykiwać coś przez komórkę.

– Silnik mi wysiadł i nic sam nie poradzę. Dzwoń mi w końcu po pomoc techniczną i za godzinę, dwie, mają mnie zaholować do warsztatu. Szef kupił takiego „trupa”, bo był tani, ale pojeździłem nim raptem przez tydzień. Gdy mu mówiłem, żeby nabył nowszy model, tylko mruknął, że dla tych „roboli” taki będzie w sam raz – wyrzucił z siebie wszystkie żale jednym tchem.

– I to są te „robole”? – zapytałem, wskazując na pobocze.

– No tak, i do tego musiałem pasażerki upychać jak ulęgałki, bo na jedną zmianę jedzie zwykle około sto dwadzieścia osób, a ile miejsc ma autobus – „każden widzi” – zakończył filozoficznie.

No to jeden temat już mam – przeleciała mi przez głowę odkrywczą myśl. I zaraz przystąpiłem do działania. Kilka kobiet widocznie zainteresowało się już moją rozmową z kierowcą, bo z nadzieją w oczach zbliżyły się do autobusu, pytając, czy pomogę go naprawić. Powiedziałem, że nie potrafię, ale pomoc techniczna przyjedzie za jakiś czas. Zdziwił mnie powszechny jęk rozczarowania.

– Proszę pana – odezwała się głośno postawna brunetka – my musimy być w pracy najpóźniej za pięć minut. Inaczej zostaniemy dyscyplinarnie zwolnione. A nam tak bardzo zależy na tej pracy. Większość z nas pochodzi z okolicznych wiosek i miasteczek, tam nie ma żadnych szans na zatrudnienie. Mamy całe rodziny na utrzymaniu. Jak powstał ten zakład, to myślałyśmy, że niebo się dla nas otworzyło.

– No, z tym niebem to już przesadziłaś – przerwała jej szczupła blondynka. – Może na począt-



ku rzeczywiście tak myślałyśmy, ale jakby tak miało być w niebie, to ja się tam nie wybieram – zakończyła ze smutkiem.

– Zaraz, zaraz – przerwałem moim rozmówczynom – dlaczego miałybyście być zwolnione? Przecież to nie wasza wina, że nie dotrzecie na czas. A poza tym, ja na waszym miejscu w ogóle bym nie wsiadał do tego autobusu. Opony ma tak zdarte, że jazda nim to samobójstwo.

– Innego dojazdu do zakładów nie ma. A musimy być na przystanku przy szosie już niemal godzinę przed czasem, żeby punktualnie zająć miejsce przy taśmie montażowej. Tak to zorganizowano na wypadek – wypadku właśnie. Gdy autobus był na chodzie, to czekałyśmy przed halą około pięćdziesiąt minut bezproduktywnie i bez zapłaty, ale dziś okazało się, że i to za mały margines czasu. Bo właśnie mija. Kilka koleżanek poszło pieszo od razu, gdy autobus stanął, ale też pewnie nie doszły na czas. A jak wrócą wieczorem? I co będzie dalej? – Kilka starszych kobiet rozplakało się z bezradności.

– Kochane panie! Nie martwcie się na zapas. Jestem dziennikarzem, nagłośnię tę sprawę i z pewnością włos wam z głowy nie spadnie. A o co chodzi z tym niebem i piekłem? – zapyta-

łem, żeby drażyć temat, bo ewidentne przykłady wyzysku już było widać gołym okiem.

– No to niech Janka panu opowie – odezwało się kilka głosów. – Ona już nawet napisała pismo, które chciała wysłać do telewizji, do tej redaktorki, która pomaga różnym ludziom, ale się wahała, bo jakby się wydało, że to o nas chodzi, to... Ale teraz to nam już wszystko jedno.

Janka stanęła na stopniach autobusu, a wokół zrobiła się niespodziewanie cisza.

– Przez wiele lat pracowałam w szkole jako nauczycielka matematyki, ale szkołę w ubiegłym roku zlikwidowano, bo gminie bardziej się kalkuloowało dowozić dzieci do miasteczka odległego o piętnaście kilometrów. Byłam na bezrobociu, więc jak przyszła oferta pracy w zakładzie VXZ, to bez wahania złożyłam dokumenty. Na stronie internetowej zakładu zobaczyłam uśmiechnięte panie w białych fartuszkach, siedzące przy stołach montażowych i składające z elementów jakieś elektroniczne urządzenia. Żadna filozofia – pomyślałam – ciepło, cicho, spokojnie, spotkam się z ludźmi, poplotkujemy, bo praca nie wymaga angażowania umysłu – i jeszcze zarobię. Kwota wynagrodzenia, które deklarowano dużą tłustą czcionką, była niemała. Większość z nas nie do-

czytała tekstu umowy do końca. Zresztą, niekorzystne dla nas warunki pracy były napisane drobnym druczkiem, ale w tak pokretny sposób, że niewiele wiedzy dla nas z tego wynikało. Okazało się, że czeka nas syzyfowa praca. Nasz pracodawca złamał chyba wszystkie przepisy Kodeksu pracy, żeby tylko zgromadzić dla siebie jak największy zysk. Nie licząc dojazdu i czasu oczekiwania na swoją zmianę, pracujemy po kilkanaście godzin na dobę. Stoły montażowe, które oglądałam w Internecie, okazały się ruchomą taśmą przesuwaną się w morderczym tempie. Nie ma mowy, żeby odejść od niej chociaż na chwilę, np.



do toalety. Zresztą, są one usytuowane bardzo daleko od naszej hali i mają tylko trzy kabiny, a pracuje nas tu, jak pan widzi, ponad setka.

W czasie dwóch krótkich przerw w ciągu zmiany nie sposób z nich skorzystać, nie mówiąc już nawet o jakimś posiłku, czy chociażby łyku wody. Szatnia i stołówka są w innym budynku. Gdy się tam jakoś dobiegnie, to trzeba jeść na stojąco, najczęściej zimną zupę lub makaron, bo są tylko dwie mikrofalówki. Szef zaraz na początku oznajmił, że tu się nie choruje, wykluczone są jakiegolwiek zwolnienia. Gdy próbowaliśmy protestować, polepszyć jakoś chociażby warunki socjalne, to jedyną odpowiedzią były aroganckie teksty: „Jak wam się, k..., nie podoba, to won... Znajdę dziesięć innych chętnych. A zresztą woda i prąd kosztują, będę wam potrącać z wynagrodzenia za te luksusy”. Zadzwoiłam anonimowo do Państwowej Inspekcji Pracy, przyjechała pani konsultantka, i była niby do naszej dyspozycji w biurowcu, ale... w czasie zmiany. Nie mogliśmy oderwać się przecież od taśmy. W końcu jej się sprzykrzyło, zrobiła parę fotek sali i kobiet w białych czepkach – i pojechała, poflirtowawszy uprzednio z szefem. Czym nie omieszkał się przy nas pochwalić. Odebrał nam tym jakiegolwiek złudzenia, że ta wizyta

odmieni nasz pracowniczy los. Duży problem to dla nas również nieregularne wypłaty, zawsze niższe niż wynika to z naszych obliczeń. Brak pewności, że pieniądze wpłyną na konto, spędza nam sen z powiek. Dosłownie. Moja sąsiadka z prawej strony przy taśmie kilka razy... spała pod bankomatem, kontrolując na leżąco, czy wpłynęły zapowiadane od paru dni pieniądze, bo miała terminowe zobowiązania. Chciała natychmiast zrobić przelewy, żeby uniknąć karnych odsetek. A przetrzymywane nasze wynagrodzenia pracowały na zysk szefa, na zasadzie – ziarno do ziarnka.

Janka nagle umilkła, bo zza zakrętu wyłonił się wypasiony mercedes prujący od strony zakładu.



– Szef, szef – rozległy się wokół przestraszone głosy.

– Jakby co, to ja nic nie mówiłam. – Janka wmieszała się w tłum koleżanek.

– Jasne, pani Janko, wielkie dzięki za szczerość, spróbuję wam pomóc, jeszcze tu wrócę – wołałem już przez otwarte okno w samochodzie. Błyskawicznie zawróciłem i w nadziei, że szef nie dostrzegł moich numerów rejestracyjnych, odjechałem z piskiem opon.

Dopiero po przejechaniu kilku kilometrów, już na głównej szosie, poczułem, że uchodzi ze mnie powietrze. Wiedziałem, że muszę natychmiast coś wypić i zjeść, bo widocznie straciłem masę energii. Niestety zjazd, który właśnie mijałem, był w remoncie. Włożyłem do ust jakiegoś zapomnianego w kieszeni cukierka i, jadąc dalej, zauważyłem na poboczu logo hipermarketu znanej marki. Za chwilę rzeczywiście był zjazd na obszerny parking. Z trudem znalazłem wolne miejsce i prawie biegiem puściłem się do drzwi wejściowych z zamiarem wykupienia tony słodczy.

Gdy już z pełnym wózkiem zmierzałem do kasy, zauważyłem jakieś zamieszanie. Za chwilę z głośnika usłyszałem komunikat, że kasa numer sześć jest nieczynna, a klienci są proszeni o po-

dejscie do nowo otwartej kasy numer piętnaście. A co się stało przy szóstce? Sprawa wyjaśniła się za chwilę, gdy w markecie pojawili się ratownicy medyczni i szybko wynieśli na noszach śmiertelnie bladą kasjerkę. Zauważyłem też, że koleżanka z kasy obok, która spontanicznie wybiegła za noszami ze swego boksu, została brutalnie zawrócona przez szefa ochroniarzy.

Za chwilę wszystko pozornie wróciło do normy. Z głośników płynęły skoczne melodie, klienci tłoczyli się przy kasach... Ale ja czułem, że do normalności to tu jeszcze daleko.

Wrzuciłem zakupy do bagażnika i niezwłocznie wróciłem do marketu. Znalazłem wolny stolik



w kawiarence w galerii, skąd miałem dobry widok na główną halę sprzedaży oraz na szereg butików i punktów usługowych.

Piłem już kolejną kawę, i herbatę na odmianę, i rozglądałem się, rozmyślając o tej chorej kasjerce.

Rzeczywiście godziny mijały, a pozostałe dziewczyny ciągle siedziały w swoich boksach, przepuszczając przez czytniki cen tony towarów, kasując należności, wydając resztę, udzielając informacji... I tak przez kilkanaście godzin, bo tyle trwa zmiana.

Moje obserwacje potwierdziła Dorota, właśnie ta dziewczyna, która zasłała przy pracy w kasie. Pojechałem do najbliższego szpitala i, za zgodą lekarza prowadzącego, przeprowadziłem z nią wywiad.

Dorota od razu poczuła się lepiej, gdy ją zapewniłem, że nie zostawię tak tej sprawy. A dowiedziałem się ciekawych rzeczy...

Dorota podjęła tę pracę, gdyż zmusiła ją do tego sytuacja finansowa w rodzinie. Szef (wtedy jeszcze przyszyły) rozmawiał z nią bardzo przyjaźnie, troszczył się np. o to, czy będzie mogła zdążyć na poranną zmianę, na siódmą rano, bo mieszkała dosyć daleko. Na dzień dobry dostała prezent – torbę słodczy.

Jak się potem okazało, niektóre były już przeterminowane, a reszta miała bardzo krótkie okresy przydatności do spożycia. Ale wówczas tego nie sprawdzała, oczarowana takim powitaniem w zespole. Umowę, na oko bardzo krótką, podpisała „w ciemno”. Sama umowa nie zawierała zresztą w zasadzie żadnych poważnych przekrętów, ale – jak się później dowiedziała – obejmowała szereg aneksów niekorzystnych dla personelu. Były tam zapisy o bardzo długim czasie pracy, wcale nie od siódmej rano, ale od piątej.

– No bo przecież, przed sprzedawaniem i uruchomieniem kas, trzeba wyładować, rozłożyć i metkować towar. To do siódmej zejdzie jak nic! – Dorota aż dostała wypieków od tych wspomnień. – A gdy zapytałam, dlaczego w umowie nie było nic na temat podnoszenia ciężarów, to usłyszałam: „Ktoś to przecież musi zrobić”. Widocznie stanowisko kasjera jest tu równoważne z potocznym określeniem „chłopiec na posyłki”, czyli z osobą zatrudnioną do wszystkich sklepowych prac! Ale cóż, praca to praca. Ja się pracy nie boję. Problem jest jednakże w braku przerw. To znaczy, formalnie są wyznaczone, ale ja nie mogę zamknąć kasy, jeżeli chociaż jeden klient jest w sklepie. To przecież jakaś paranoja! Nie ma takiej sytuacji, jeżeli

hala sprzedaży jest otwarta! No to co zrobić, jeżeli człowieka przypili i musi natychmiast do toalety? Przejście na zaplecze jest wykluczone, więc toaletę trzeba mieć przy sobie! I tak, panie redaktorze, jest – siedzimy przez x godzin w pamperkach, żeby nie dostać skrętu kiszek, zapalenia pęcherza czy niewydolności nerek... Staram się niewiele pić, bo zresztą i tak konsumpcja w czasie pracy jest zabroniona. Czasem uda się przemycić do ust cukierka czy ukradkiem pochłonąć banana, ukrytego za pazuchą, gdy głód doskwiera. A tu, jak na ironię, cały czas kasuję różne przysmaki. Jest to bardzo stresujące i wyczerpujące, fizycznie oraz psychicznie. I to na tyle, że gdy mam już możliwość coś zjeść, to paradoksalnie – nie mogę. Psychiatra stwierdził, że organizm jest już wtedy tak zakręcony, że przestaje reagować na podstawowe potrzeby.

– Ale dlaczego to tak funkcjonuje? – udało mi się zapytać, bo Dorota na chwilę zamilkła.

– Wiem, że działa tu zasada „jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze”. Kiedyś nawet robiono taką symulację, czy kalkuluje się zatrudnić jeszcze jedną osobę, tak, aby pozostałe miały bardziej komfortowe warunki pracy, ale... zwyciężyła wola maksimum zysku dla firmy, czyli



opcja totalnego wyzysku dla nas. No bo wynagrodzenie, które otrzymujemy, jest – mówiąc oględnie – mierne, a na pewno niewspółmierne do czasu, wysiłku i stresu, jaki przeżywamy. A, nie daj Boże, jakaś pomyłka, manko w kasie, wtedy szefostwo uruchamia system kar, od organizacyjnych do finansowych. Panie redaktorze! Ale to wszystko, co pan usłyszał, to właściwie taka nasza szara rzeczywistość – od dawna, i na nią niejako zgadza się każda osoba, zatrudniając się w tej czy podobnej korporacji. Postanowiłam być z panem szczerą. Nie mam już nic do stracenia. Otóż, dzisiaj zasłaabłam, bo... jestem w ciąży. Parę tygodni

temu, po zakończeniu zmiany, zostałam wezwana do gabinetu dyrektora. Byłam jak zwykle skonana, w domu czekała stęskniona córka, której obiecałam pomoc w matematyce. Gdy mąż mnie zostawił przed dwoma laty, musiałam stać się uniwersalnym korepetytorem. Szef wręczył mi jakieś papiery, coś tam mówił o jakiejś reorganizacji, którą mam zaopiniować w ciągu tygodnia. Włożyłam teczkę do torby i ze słowami: „dobranoc panu”, złapałam klamkę, ale szef był szybszy. Usłyszałam tylko: „Tak, to będzie dobra noc, i ty się o to postarasz!”. Nie powiedziałam nikomu o tym gwałcie. Nie wiem dlaczego. Byłam w wielkim szoku, bałam się, że szef zwolni mnie dyscyplinarnie, że nikt mi nie uwierzy. Po jakimś czasie zaczęłam podejrzewać najgorsze, wciąż było mi słabo i niedobrze. Staralam się, aby nikt się nie zorientował, ale dzisiaj sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Gdy krwotok się nasilał, straciłam przytomność. Dalej już pan wie – pogotowie, szpital. Poroniłam. Lekarz zgłosił sprawę do prokuratury. Pobrano materiał genetyczny, aby stwierdzić ojcostwo. Nie wiem po co, przecież ja nie miałam od paru lat innego mężczyzny niż ta kreatura. Ale takie są podobno przepisy. No to teraz wie już pan wszystko! Niech pan zrobi z tego użytek.

Dorota, wyczerpana wspomnieniami, przy-
mknęła oczy. Cicho wyszedłem z sali szpitalnej.

O mój Boże! Za szybko to wszystko się dzieje.
Minęło raptem kilkanaście godzin, a ja mam już
taaki materiał! Ale, o dziwo, nie czułem żadnej
satisfakcji...

Zamyślony wszedłem do windy, ale widocznie
przeoczyłem moment naciśnięcia parteru, bo
winda pojechała do góry i zatrzymała się na piątym
piętrze. Weszła do niej jakaś starsza pani,
z trudem podpierając się laską, i zanim się spo-
strzegłem, nacisnęła przycisk siódmego piętra,
jednocześnie zwracając się do mnie:

– Pan pewnie też jedzie do kaplicy, prawda? Czy
mogę wziąć pana pod rękę, bo trzeba będzie przejść
korytarzem ze dwieście metrów? Pomoże mi pan?
Trochę niepewnie chodzę po tej operacji kolana.

No cóż – nie wypadało kobiecie odmówić.
Zresztą wykalkulowałem, że szybciej zaprowadzę
ją na miejsce niż wytłumaczę, że jestem tu przy-
padkiem i do żadnej kaplicy się nie wybieram ani
nie wybierałem, bo pani mówiła do mnie bardzo
głośno, więc pewnie była przygłucha. Po drodze
dowiedziałem się, że ksiądz kapelan zapraszał
dzisiaj na jakieś spotkanie modlitewne przed
wieczorną Mszą świętą.



Gdy doszliśmy do kaplicy, spotkanie już trwało. Było sporo osób, głównie pacjentów, sądząc po strojach. Miejsca siedzące były już zajęte, ale sprytna – jak widać – „moja babcia” dostrzegła jeszcze dwa wolne krzesła w pierwszym rzędzie i stanowczym ruchem wskazała, że właśnie tam usiądziemy. Było mi już wszystko jedno, bo i tak wszyscy się na nas patrzyli.

Grupa śpiewającej (notabene bardzo ładnie) młodzieży kończyła właśnie papieską „Barkę” i do mikrofonu podszedł jakiś około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Zaczął opowiadać o swoim życiu, drodze do nawrócenia do Boga...

Co ja tu robię? – zastanawiałem się w duchu. W kościele nie byłem chyba z dwadzieścia lat, no może czasem chodziłem na pasterkę lub rezurekcję. Ale krzesło było bardzo wygodne, więc postanowiłem posiedzieć chociaż trochę, a potem wymknąć się „po angielsku”.

Ale Sławek, bo tak się przedstawił, zaczął mówić nagle takie rzeczy, które się wspaniale komponowały z moimi dzisiejszymi wrażeniami. Zasłuchałem się...

– ...Nie skończyłem studiów, bo założyłem wspólnie z kolegą firmę budowlaną i zająłem się robieniem pieniędzy. Postawiłem sobie jeden

główny cel: astronomiczny zysk! Wszystko było temu podporządkowane. Zatrudniałem głównie cudzoziemców, zwłaszcza Ukraińców, bo nie mieli wygórowanych żądań płacowych, szczęśliwi, że mają zajęcie. Płaciłem im głodowe stawki na rękę, mimo że w umowach deklarowałem bardziej przyzwoite, na wypadek jakichś kontroli. A oni wiedzieli, że gdy złączą podskakiwać, to stracą pracę. „Oszczędzałem” na odzieży roboczej – musieli pracować we własnych ubraniach, nie zapewniałem wody mineralnej nawet w największe upały, ani ciepłych napojów – w czasie zimy. Zamiast zamówić przenośną toaletę, kazałem pracownikowi wykopać dół w rogu placu budowy, bo wykalkulowałem, że taniej będzie zapłacić nawet karę, gdyby sanepid naciskał, niż opłacać profesjonalną kabinę... Kobiety, które zatrudniałem, otrzymywały zawsze relatywnie niższe wynagrodzenie od mężczyzn za godzinę pracy – nawet o kilkadziesiąt procent, no bo przecież taka jest zasada, nie tylko w Polsce, tak tłumaczyłem się przed samym sobą. Oszukałem nawet grupę młodzieży, która na mój internetowy anons zgłosiła się, aby po osiedlach roznosić ulotki z reklamą usług świadczonych przez moją firmę. Gdy młodzi ludzie wykonali zadanie i przyszli po obiecane

pieniądze, dałem im o połowę mniej, wmawiając, że się przesłyszeli, bo oczywiście wszystko było załatwiane „na gębę”. Pewnego dnia odwiedził mnie Franciszek, kolega z dawnych lat. Prowadzi on różnorodne interesy, dużo podróżuje, ostatnio wrócił właśnie z Peru. Opowiadał, jaka tam panuje bieda, że nawet małe dzieci chwytają się dorywczej, ale ciężkiej pracy, żeby zarobić na miskę zupy. Ich wynagrodzenie, jak i ich rodziców, zwłaszcza jeśli są np. Murzynami, Arabami, jest zenująco niskie. Bo tam, wśród biznesmenów, funkcjonuje niepisana zasada: „zysk za wyzysk”! Te słowa mnie zelektryzowały. Przecież ja też, tu w Polsce, hołduję tej prawdzie! Traktuję ludzi jak narzędzia do robienia pieniędzy dla mnie! Nie szanuję ich pracy, nie dostrzegam ich godności. A są przecież – tak samo jak ja – dziećmi Bożymi! Przeżyłem wtedy głębokie nawrócenie. Franciszek upomniał mnie, nie wiedząc jeszcze nic o mojej biznesowej działalności. Przypomniał mi, że powinienem „odkopać” we własnym sercu i umyśle dar umiejętności, który właściwie ustawia w życiu dystans do rzeczy ziemskich. Dużo z nim rozmawiałem, za jego radą starałem się wyciszyć wewnętrznie, przewartościować swoje myślenie. Gdy wyjeżdżał w swoją kolejną podróż, przyniósł



mi pozółkły już obrazek z wizerunkiem świętego Franciszka, który otrzymał kiedyś od swojego dziadka. Na odwrocie było tylko jedno zdanie zaczerpnięte z Pisma Świętego: „Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu”. Trzymam go zawsze przy sobie i staram się żyć tym słowem.

Gdy mężczyzna odszedł od mikrofonu, w kaplicy zaległa głęboka cisza. Dopiero po dobrej chwili rozległy się oklaski i rozbrzmiała radosna pieśń. „Moja babcia” płakała rzewnymi łzami, wcale się z tym nie kryjąc.

A ja – podszedłem do Sławka i poprosiłem o zgodę na opublikowanie jego wypowiedzi. Zgodził się od razu, mówiąc, że jego pragnieniem jest dzielenie się swoją metanoją z wieloma ludźmi. Bo przecież Jezus zachęcał nas: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą, i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie (...). Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”.

– To z Ewangelii według świętego Mateusza – dodał jeszcze Sławek, obdarzając mnie promiennym uśmiechem!

Diametralna zmiana planów generuje nieobliczalne zyski

Zysk jednego, szkoda drugiego

Marcin Bielski

Panowie: Jarku, Karolu i Robercie! Miło mi poinformować panów, że w tym momencie jesteście prawdopodobnie najmłodszymi magistrami na świecie – rozpoczął ogłoszenie wyników obrony prac magisterskich naszej trójki profesor Walczakowski.

Odetchnęliśmy z ulgą! Fajnie, że rozpoczął od najważniejszej wiadomości! Potem jeszcze długo mówił o szczegółach – kto jaką ocenę dostał za ten ostatni egzamin, co komu wyszło z obliczeń średniej ze studiów, z recenzji i co ostatecznie będzie figurować na dyplomie obok tytułu: magister ekonomii.

– Macie wszyscy taką państwową, klonowaną ocenę, czyli dostateczny. Nie jest to żaden szal – dodał, spojrzawszy na nas badawczo. Przytaknę-



liśmy solidarnie. – Ale życzę wam, chłopcy, zdobywania dobrych biznesowych doświadczeń. Podstawy otrzymaliście, teraz reszta należy do was.

Parę ciepłych słów powiedziała też nasza promotorka, profesor Majakowska. Równa babka! Gdyby nie ona, nie dałbym chyba rady z tą pracą i obroną. Dostała od nas ogromny bukiet róż!

Po niej zabrał głos recenzent, doktor Wójcik – życzył nam sukcesów w życiu zawodowym i osobistym! No właśnie, teraz będzie więcej czasu na życie osobiste – pomyślałem z radością, bo na korytarzu czekała Klara, moja dziewczyna, w towarzystwie Renaty i Teresy, które trzymały kciuki za swoich chłopaków – Karola i Roberta.

Uściskom i gratulacjom nie było końca! Pikały też SMS-y od rodziców, kolegów, którzy już byli po, lub jeszcze przed magisterką. Zrobiliśmy sobie zdjęcie przed wejściem do naszego wydziału i wtedy dotarło do mnie, że to już koniec studenckiego życia, że tyle razy przechodziłem w ciągu pięciu lat przez te drzwi! Masywne, ciężkie, rzeźbione. Przy nich poznałem któregoś dnia Klarę, drobną blondyneczkę, która szarpała bezskutecznie za mosiężną klamkę tych drzwi, chcąc wyjść na zewnątrz. Wyszliśmy razem i tak chodzimy już od czterech lat. Klarę czeka obrona pracy za rok. A Renata i Teresa świętowały ukończenie studiów w czerwcu, jeszcze przed wakacjami. Renata to prawniczka, a Teresa skończyła farmację.

Tak jak planowaliśmy, zjedliśmy uroczysty obiad w restauracji „Ratuszowa”, poszliśmy na wspólny, jesienny spacer nad rzekę, a potem wyładowaliśmy u mnie, bo moja mama nie wyobrażała sobie tego popołudnia bez tortu, który upiekła na naszą cześć. Nie mogłem jej przecież zawieść!

Wychowywała mnie sama i włożyła dużo, dużo wysiłku, żebym skończył studia. Usiadła z nami przy kawie, ale po wysłuchaniu naszych relacji



z egzaminu, dyplomatycznie wykręciła się z drugiego kawałka tortu. Zostaliśmy sami.

– No to co, chłopaki, zakładacie tę turystyczną firmę? – Renata, jak widać, była bardzo zasadnicza. – Czy wasze plany się nie zmieniły? Bo ja dokładnie wiem, jak założyć biznes w Internecie. I nawet wymyśliłam nazwę: „Autostop”. Może być?

– Założymy, założymy. – Karol studził zapędy swojej dziewczyny. – Robert, ty pisałeś pracę z marketingu, zajmiesz się reklamą, najlepiej od razu agresywną, OK? Jarek niech wybada konkurencję. Najpierw trzeba ją zniszczyć! Zlikwidować! Zmieszać z błotem w necie! Będziesz robić przez

jakiś czas za niezadowolonych klientów i pisać posty, jaki to szunt oferują ci czy tamci. Jak im ubędzie gwiazdek, wtedy my wyłonimy się zza kurtyny – planował Karol, który widocznie wybrał się sam na szefa! Robertowi się to wyraźnie nie spodobało.

– Ale umawialiśmy się, że każdy będzie niezależny w naszej spółce, prawda Jarek?

– Tak! – odpowiedział stanowczo! – Dlaczego już od początku nam rozkazujesz? Powinniśmy usiąść i ustalić wspólnie, sprawiedliwie, co i jak.

– No faktycznie, takie były plany – przyznał Karol. – Ale uważam, że w obecnych czasach galopującej inflacji, trudności rynkowych i braku stabilności pieniądza, potrzeba mocnej ręki do interesów. Ja jestem najwyższy i mam silne muskuły, nie widać? – zażartował.

– Nie chcesz chyba zarabiać jako bokser? – zaniepokoiła się Renata.

– Oczywiście, że nie, szkoda zachodu i wizerunku, który w biznesie jest bardzo istotny. Pamiętacie ten wykład Zacparskiego?

– Karol! To nie chodziło o wygląd, czy o wyraz twarzy, ale o wizerunek firmy, np. w sieci. Już wyłażą z ciebie braki!

– Dobra, dobra, lepiej myślimy, co ta wasza firma ma robić – Teresa, dotąd milcząca, chciała wiedzieć.

– Bardzo mądre pytanie, Teresko, a może masz jakiś pomysł, kobitki czasem mają dobrą wenę – podliziałem się.

– Jarek, sami musimy to wymyślić – Karol był wyraźnie niezadowolony z mojej sugestii.

– Chyba będziecie coś sprzedawać? Sklepy internetowe są modne, zwłaszcza po pandemii koronawirusa. Na coś się ona, jak widać, przydała – Renata chciała widocznie włączyć w nasze serca dawkę optymizmu. Ale zapachniało czarnym humorem...

– Pewnie tak, ale co? Co mamy sprzedawać? Takich sklepów jest multum. A pamiętacie, jak prof. Witebska grzmiała: „Najważniejszy jest klient!”? Jak trafić w klienta? Czego on oczekuje? Czego potrzebuje? A jeżeli nawet nie potrzebuje, to co trzeba zrobić, żeby nagle zapragnął TO mieć? – Robert jakoś sceptycznie patrzył w przyszłość...

– Myślimy, myślimy – Karol nie tracił entuzjazmu. – Jesteśmy przecież magistrami! Żeby spijać miód zysków, trzeba się najpierw pomęczyć.

Zapadła ciężka cisza... Zegar na kominku tykał dosyć głośno. Czas mijał, a my przecież musieli-



śmy działać! Musieliśmy zarabiać, żeby w przyszłości utrzymać rodziny, dzieciaki...

W pewnej chwili aż podskoczyłem, bo kliknęła moja komórka. Odruchowo włączyłem odczyt: „Zdrowia, szczęścia, pomyślności w dniu obrony pracy magisterskiej – od cioci Jadzi”.

– Słuchajcie, mam! Mam pomysł! – olśniło mnie nagle. – Czego ludzie sobie najczęściej życzą przy różnych okazjach? Otóż: zdrowia, szczęścia i pomyślności, prawda? – wykrzyknąłem, zanim ktoś zdążył mi odpowiedzieć. – Właśnie takie życzenia dostałem przed chwilą z okazji obrony od mojej chrzestnej. Jeżeli sobie nawzajem tego życzą, to widocznie tego pragną! Czyli..., czyli nasi potencjalni klienci chcą być zdrowi, chcą żyć

szczęśliwie i doświadczać pomyślności! I my spełnimy ich życzenia!

– Jarek, co ty! Chcesz otworzyć szpital, pałac ślubów i firmę, która zbuduje dom dla każdego klienta? – Robert popatrzył na mnie jak na wariata. – Oszalałeś?

– Czekaj, czekaj! – Karol był wyraźnie zainteresowany moim pomysłem. – Zdrowie to nie tylko szpital, to przede wszystkim zapobieganie chorobom, czyli... profilaktyka – zawołał tonem zbliżonym do: „Eureka”! – Oczywiście, ludzie nie chcą zachorować! Nie chcą cierpieć, biegać po przychodniach, wysiadywać godzinami na izbie przyjęć, czekać na wyniki, płacić krocie za leki itd. I wydadzą ostatnie pieniądze, żeby tego nie przechodzić! A nasze zyski będą szybować w górę! Zobaczycie.

– To będziemy sprzedawać jakiś eliksir młodości, czy co? Mów wyraźniej, bo nie kumam – odezwała się Klara.

– Na pewno nie tylko jeden specyfik, ale co najmniej kilkanaście. Ale, na przykład, czego człowiek ma najwięcej?

– Włosów – zaśmiała się Teresa, a potem chyba... zębów. Ma też długie jelita, bo potem to już tylko po dwa albo tylko jeden organ, na przykład:

dwa płuca, dwie nerki, dwoje oczu i uszu, jedną wątrobę, żołądek, jeden nos...

– No widzicie, jakie pole do działania się nam otwiera. Zobaczycie, jak biznes będzie się rozwijał! Gwarantuję bardzo wysokie zyski! Zainwestujemy tylko w jakieś oryginalne opakowania, buteleczki, słoiczki, ciekawe nazwy oraz oczywiście w promocję i w reklamę! Naklejki zaprojektuję sam, byłem najlepszy z informatyki.

– No dobrze, ale co będziemy wlewać do tych buteleczek i słoiczków? – chciała wiedzieć Teresa.

– O, to już zadanie dla ciebie, Tereniu. Opracujesz jakąś tanią, uniwersalną recepturę, oczywiście różniącą się zapachem, smakiem i kolorem



między sobą. I taką, która nie będzie szkodzić! To konieczny warunek! A czy komuś to czy tamto pomoże? Będziemy ją dla oszczędności rozrzedzać, jak się da. To będzie taka nasza prywatna homeopatia. W części butelek może być czysta woda. Napiszę, że to woda święcona, albo że pochodzi z jakiegoś źródła przy znanym sanktuarium i że ma moc uzdrawiania. Ludzie to kupią! Nie muszą jechać na pielgrzymkę do Częstochowy, czy jeszcze gdzieś dalej.

– W Częstochowie nie ma źródła – wtrąciła Klara.

– To zrób mi wykaz miejsc i zdjęć, gdzie są, będzie jak znalazł na naklejki! Wiara podobno góry przenosi! Zaczniemy pilotażowo od zębów. Pokażcie mi kogoś, kto by nie chciał uniknąć dentysty! – Karol coraz bardziej się nakręcał.

– A gdzie będziemy ten preparat rozlewać do butelek, pakować paczki do wysyłki? – Robert wciąż był sceptycznie nastawiony do tego pomysłu.

– Jak to gdzie? W garażu! Wszyscy właściciele dużych firm zaczynali działalność właśnie w garażu lub w piwnicy! Bill Gates też tak zaczynał. To widocznie przynosi szczęście. – Renata poparła Karola w tym względzie.

– No to mamy wszystko ustalone. W poniedziałek zakładamy firmę, tylko pomyślcie nad chwytliwą nazwą, i muszę zatroszczyć się o właściwe pozycjonowanie w przeglądarce, żeby nas internauci znaleźli.

– To ty, Karol, będziesz szefem? – zapytał zawiadzionym głosem Robert. – Jeżeli tak, to ja w to nie wchodzę. Nie będę u ciebie robił za parobka!

– Ja też tak uważam – włączyłem się odważnie.

– No co wy? – Karol trochę spuścił z tonu. – To może niech każdy z nas spróbuje coś rozkręcić. Jak wyjdzie, to będzie super, a jak padnie – nie zostawimy takiego bez pomocy.

– Radzę, spiszcie umowę – w Renacie odezwał się duch prawa. – Wtedy wszystko będzie jasne! Przygotuję wam wzór, dobrze?

– To co ja mam rozkręcać? To „SZCZĘŚCIE”? – Robert odzyskał dobry nastrój. – Przyszło mi na myśl biuro matrymonialne on-line. Oczywiście wszyscy kandydaci na męża i wszystkie panie, które chcą zostać żonami, zostaną odpowiednio „podszykowani” w Photoshopie. Nie będzie grubych, łysych czy pomarszczonych o rzadkich włosach. Zatają stan cywilny, niezbyt bogatym – zwiększą wartość majątku.



– A jak dojdzie do ich spotkania w realu, to co będzie?

– W regulaminie biura napiszę gdzieś malutką czcionką, że nie biorę odpowiedzialności za rozczarowanie. Oczywiście – opłata z góry.

– Wiesz co, Robert, w jakiejś zakładce umieść też sklepik oferujący przedmioty „dające szczęście” – amulety, pierścienie Atlantów, znaki zodiaku, karty tarota, zestawy horoskopów (indywidualnych), a także kontakty do wrózek różnych specjalności itp. Oczywiście wszystko po „promocyjnych” cenach – zaproponowała Renata.

– Superpomysł. – Robert już widocznie nabrał entuzjazmu do swojego e-biznesu! – Jutro spraw-

dzę, czy i jak działa konkurencja w tym temacie! A ty, Jarek, co tak cicho siedzisz? Mój i Karola biznes to, myślę, zwykła „drobnica” wobec twojego! Firma „Dom dla każdego” brzmi zachęcająco dla klientów, prawda? Oczywiście nie będziesz nic dla nikogo budować, tylko obiecywać, że zbudujesz. Spiszesz umowę, zainkasujesz całą kwotę lub zaliczkę, zależy to od twojej oceny stopnia zaufania klienta i od tego, czy mu się spieszy z przeprowadzką z bloku do willi. A jak klienci będą się dopytywać, co z obiecaną inwestycją – znikasz jak kamfora! Zlikwidować biznes w sieci można jednym kliknięciem.

– Ja ci znajdę taki wzór umowy, że wygrasz w każdym ewentualnym sądzie. – Renata chwaliła się swoją wiedzą prawniczą. – I co, podoba ci się taki biznes?

Automatycznie kiwnąłem potakująco głową, choć miałem w niej mętlik.

– OK, przejadę się po okolicy, zrobię parę fotek jakichś ciekawych domów i rezydencji...

– No co ty? Po co jeździć? Nie łatwiej znaleźć takie zdjęcia w Internecie? Jarek, pamiętaj, że złota zasada biznesmena to: minimum wysiłku, maksimum zysku! Do roboty, panowie magistrowie! – Karol chyba jednak został takim samozwańczym szefem szefów.

– Człowieku, bez przesady! Jest 2.00 w nocy – zaprotestował Robert. Ja muszę się wyspać po tych wszystkich wrażeniach. Zmywamy się. Chodź, Klara, podwożę cię do akademika, bo Karol jedzie w przeciwnym kierunku.

A ja wcale nie byłem śpiący. Chyba potężny wyrzut adrenaliny i szalone pomysły na biznes trzymały mnie w pionie. Jeszcze przez dobrą godzinę myszkowałem po Internecie i wyszukiwałem zdjęcia różnych domów – dużych rezydencji i niewielkich, ale oryginalnych willi, na dobry początek. Teraz trzeba tylko odpowiednio sfor-



mułować ofertę – i kasa sama popłynie – rozmarzyłem się...

Obudziłem się, mimo zarwanej nocy, jak zwykle o 7.00. Nie ma co dalej leżeć, trzeba działać. Jak dobrze pójdzie, to ja pierwszy uruchomię biznes. No bo zanim Karol porozlewa „cudowną” miksturę do butelek – których, tak jak i naklejek, jeszcze nie ma – to trochę potrwa. A Rafał musi najpierw znaleźć odpowiedniego dostawcę amuletów i tych „akcesoriów szczęścia” oraz podszkolić się w Photoshopie, bo za mocny w oprogramowaniu to nigdy nie był.

Perspektywa lidera biznesu postawiła mnie na nogi. Kawa rozjaśni mi umysł, został jeszcze chy-

ba kawałek tortu z wczorajszego popołudnia, to na śniadanie będzie akurat!

Mama też wcześniej wstała. Jak wszedłem do kuchni, zaczęła szukać czegoś w szafce pod oknem, ale i tak zauważyłem, że oczy ma podpuknięte i trzyma w ręce chusteczkę.

– Co to, przeziębiałaś się, mamó? Szukasz czegoś na katar? Ale krople są przecież w szafce w łazience, zapomniałaś? Tort był pyszny, jeszcze ci nie zdążyłem podziękować.

Chciałem ją przytulić i ucałować, ale odwróciła twarz, która była najwyraźniej zapłakana!

– Co się stało? Tak źle się czujesz, boli cię coś?

Ale zamiast odpowiedzi, usłyszałem tłumiony szloch.

– Mamó, ty wyglądasz tak, jakbyś całą noc przepłakała. Dlaczego płaczesz?

– Och, Jarku, Jarku, nie spodziewałam się tego po tobie. Wczoraj był taki piękny dzień! Tak marzyłam, żebyś skończył studia, obronił magisterkę. Byłam bardzo wzruszona i szczęśliwa, wspominałam te wszystkie lata, kiedy chodziłeś do szkoły, zdałeś maturę, rozpocząłeś studia. Oglądałam zdjęcia, twoje świadectwa, które przechowuję na pamiętkę. Gdy byłeś jeszcze w podstawówce i zostawił nas twój ojciec, przeżyłam szok i straszny

lęk, że sama nie dam rady cię wykształcić, wyprowadzić „na ludzi”... Nie mogłam usnąć, pewnie z nadmiaru wrażeń. Około 1.00 zeszedłam do kuchni, żeby sobie zaparzyć melisy. Rozmawialiście bardzo głośno, wasze podniecone głosy było wyraźnie słychać. Nie myśl, że podsłuchiwałam. Zdrętwiałam, gdy usłyszałam wasze biznesowe plany. Jarku, czy ty naprawdę masz zamiar rozpocząć swoją drogę zawodową od oszustwa? O Boże, jak ja cię wychowałam? Co ci przyszło do głowy? Że Karol i Robert kombinują, to ich sprawa, chociaż sądziłam, że to nie są ludzie tej kategorii. Ale ty? Nie zdążyłam ci pewnie powiedzieć, że wczoraj, jeszcze przed waszym powrotem, dzwonił ksiądz Antek z gratulacjami dla ciebie. Dowiedział się od babci Roberta, która w kościele układała kwiaty, że jesteście już „po”. Powiedział dokładnie tak: „Jarek ma wyłączony telefon, więc dzwonię do pani z prośbą o przekazanie gratulacji mojemu najlepszemu ministrantowi i lektorowi”. Pytał potem, czy masz już jakąś pracę na oku, bo chyba nie będziesz nadal stróżem na parkingu. To było dobre dla studenta, ale dla magistra ma pewną propozycję. Obiecałam, że dziś wieczorem zajdziesz na plebanię i pogadacie sobie. Nie wiedziałam wtedy jeszcze nic o waszych zamiarach. Synu,

bardzo cię proszę, idź i dowiedz się, o jaką pracę chodzi. Zostaw ten „brudny” biznes, dobrze?

– Ależ mam, już mam kupę zdjęć domów i plan, jak to będzie funkcjonować. Zarobię masę pieniędzy, mamy przecież tyle koniecznych wydatków – pralka chodzi na ostatnim dechu, dach przecieka, schody trzeba naprawić, a ja chciałem pojeździć trochę po świecie, podróż poślubną planujemy z Klarą do Włoch. A jeszcze ślub, wesele... Widzisz, że potrzebujemy dużo pieniędzy!

– Jarku, bój się Boga... – nic już więcej nie przeszło mamie przez gardło, bo słowa stłumił potężny szloch...



– Uspokój się, pójdę wieczorem do księdza Antka, tylko już nie płacz więcej, dobrze?

Koło południa otworzyłem e-maile, żeby zobaczyć, czy jest informacja z dziekanatu, kiedy dyplom będzie do odbioru, a tu aż roiło się od e-maili Karola i Roberta: „zobacz naklejki, chyba fajnie wyszły”, „Teresa zrobiła już próbki mikstury, teraz testuje moce i smak naszego cudo-leku”, „kiedy Klara podeśle adresy źródełek?”. A Robert pisał, że zamówił już horoskopy i ma kontakty do pięciu wrózek (sprawdzonych)!

Wątpliwości targały mną przez cały dzień. Wieczorem poszedłem na plebanie, żeby mama się uspokoiła. Przyszedłem za wcześnie, bo ksiądz Antek jeszcze odprawiał wieczorną Mszę świętą. Czytał właśnie Ewangelię. No tak, jest opóźnienie, bo wcześniej był różaniec, przecież jest październik.

Stałem za ławkami, bo na dworze zrobiło się już nieprzyjemnie. I nagle usłyszałem Słowa, które spowodowały, że świat mi silnie zawirował. Ksiądz Antek czytał: „Co by przyszło człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swej szkodę poniósł?...”. O Boże, to do mnie mówisz, do mnie! Kolana same ugięły się pode mną...

Ksiądz Antek zaproponował mi pracę w sąsiedniej miejscowości, gdzie proboszczem jest jego

starszy kolega z seminarium. Właściciel dużej sieci handlowej, której budowę właśnie tam ukończono, prosił, aby proboszcz polecił mu kogoś uczciwego, po studiach ekonomicznych, który podjąłby się zadania uruchomienia tej placówki i został jej głównym menedżerem. Pensja na dzień dobry była... astronomiczna, ale i zakres obowiązków – potężny.

– Podejmiesz się, Jarku, tego wyzwania? – Ksiądz Antek podał mi wizytówkę. – Tu masz do niego namiary, skontaktuj się, dowiedz o szczegóły. O, co jeszcze, dostaniesz służbowy samochód i komórkę. Myślę, że to Opatrzność Boża podsunęła ci taką propozycję, przecież się wam nie przelewa, prawda? A posłużyłbyś w niedzielę do Mszy świętej dla studentów na „osiemnastce”? Większość naszych ministrantów wyjechała na turniej piłkarski. Przyjdiesz?

– Przyjdę – odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem – ale najpierw chciałbym przyznać się księdzu do pewnych planów. Możemy wrócić do kościoła?

Wracając do domu, puściłem SMS-a do Karola i do Roberta z tekstem tego Słowa, które mną tak wstrząsnęło. Już koło północy przyszły odpowiedzi. Karol napisał: „Nie wierzę w żadną duszę,



dalej robię swoje, ty zdrajco!” Robert obiecał, że jeszcze przemyśli sprawę...

– Mamo, dzięki ci – powiedziałem na dobranoc, całując jej spracowane dłonie oplecione różańcem.

Niespodziewany zysk

Cudze zyski solą w oku

Wojciech Wiercioch

Gdy otrzymałam zawiadomienie z Akademii Teatralnej i Filmowej, że zostałam przyjęta na pierwszy rok studiów, myślałam, że złapałam Pana Boga za nogi! Chodziłam dumna jak paw, konkurencja była naprawdę wielka, a ja ją pokonałam! Czułam, że to jest moje miejsce na ziemi, moje powołanie. Czas studiów mijał mi niespodziewanie szybko. Wykłady, próby, staże, praktyki, egzaminy...

Na drugim roku poznałam Mariana, zakochałam się z wzajemnością po uszy. Rok później zamieszkaliśmy razem. Marian, starszy ode mnie, skończył właśnie prawo i planował, że zostanie adwokatem.

– Jeszcze długa droga przede mną, pragnę przejść ją z tobą, Rózo – wyznał mi w Wigilię Bożego Narodzenia, którą spędzaliśmy we dwoje. Potężny bukiet róż i pierścionek zaręczynowy przyjąłem ze łzami wzruszenia na twarzy.

Przyszędł wreszcie czas na przedstawienie dyplomowe.

– Wyglądałaś zjawiskowo – podsumował je Marian.

– Masz talent, dziecko! – Rodzice jakby dopiero przekonali się do mojego wyboru. Żadne z nich nie miało artystycznej duszy.

Mama pracuje w szkole jako nauczycielka fizyki i chemii, ojciec prowadzi firmę transportową.



„Jestem biznesmenem” – mówi z dumą o sobie. Gdy zdawałam do szkoły teatralnej, stwierdził, że pewnie nie zarobię „na pieprz”. Tytu jest przecież aktorów i w Polsce, i za granicą.

– Ja przynajmniej uzyskuję jako taki dochód miesięcznie, tnę koszty jak się da i nie narzekam na zyski.

Powiedziałam mu wtedy, że dla mnie zyskiem będzie sukces! Będzie: otrzymanie upragnionej roli, zagranie jej na szóstkę, z charyzmą i przekonaniem, będzie praca w teatrze u znanego reżysera. I zrobię wszystko, aby ten sukces osiągnąć! Usunę wszelkie przeszkody!

Gdy opadła kurtyna i ucichły oklaski, czekałam na propozycje pracy w teatrze, na główną rolę w filmie, nawet w serialu. I moje marzenie spełniło się bardzo szybko. Dokładnie tydzień po przedstawieniu dyplomowym trzymałam już w ręku angaż do znanego warszawskiego teatru! Miałam się zgłosić na pierwszą próbę „Hamleta” po przerwie urlopowej, za miesiąc – 15 lipca.

Ale, dokładnie pamiętam ten dzień, 2 lipca rano obudziłam się z potwornym bólem głowy. Potem pojawiły się nudności i wymioty.

– To na pewno migrena – uspokajał mnie Marian. – Może denerwujesz się, że zbliża się pierwszy dzień twojej pracy w teatrze, co?

– Nie – jęknęłam. – Bardzo się cieszę, ale pewnie tego nie dożyję – krzyknęłam, biegnąc kolejny raz do łazienki.

Marian wyszedł do sądu z wyrzutami sumienia, że zostawia mnie w takim stanie. Pocieszyłam go, że mi już przechodzi, że jeszcze się zdrzemnę i będzie dobrze. Oczekałam parę minut i zwlekłam się z łóżka. Na szczęście apteka była na sąsiedniej ulicy.

Wynik testu ciążowego nie pozostawiał złudzeń – dwie wyraźne kreseczki! Ale na wszelki wypadek kupiłam kilka testów, różnych firm, bo... Zużyłam jeszcze trzy, wszystkie pokazywały wyraźnie – poczęło się dziecko!

Chyba z wrażenia zakręciło mi się w głowie i musiałam się prędko położyć. Pewnie przysnęłam, bo widziałam siebie, jak z wózkiem biegam po scenie za reżyserem i błagam go o rolę matki z dzieckiem, bo nie mam zamiaru iść na urlop macierzyński ani wychowawczy. Scenarzysta krzyczy, że nie ma roli dla niemowlaka, po czym oboje z reżyserem wręczają mi wymówienie: – Rolę w „Hamlecie” zagra Patrycja. Twoja szansa przepadła!



Obudziłam się zlaną potem, ale na tyle przytomna, że wstałam, pozbierałam testy i pudełka, wyrzuciłam zawinięte w gazetę do kubła przed domem, razem z paragonem z apteki. Wróciłam i wzięłam do ręki telefon...

Moje dziecko straciło życie „na żądanie” tydzień później, w gabinecie dr K.J. na ulicy Szarej 12, dokładnie o godzinie 16.30... Nikt nie wiedział o tym, nawet Marian, nawet moja mama, przed którą dotychczas nie miałam tajemnic. Bliższym powiedziałam, że mam po południu próbę do „Hamleta” i wrócę późno, bo reżyser ma nową koncepcję na drugi akt przedstawienia, ale część aktorów jej nie akceptuje. Marianowi zostawiłam

dotatkowo kartkę: „Nie dzwoń do mnie, nie pisz, bo komórkę będę miała przez parę godzin wyłączoną. A jeżeli próba zakończy się koło północy, to zanocuję u Klaudii, która mieszka obok teatru”.

Wynajęłam pokój w małym prywatnym pensjonacie, w nadziei, że do rana dojdę do siebie, prześpię się, posilę i... będzie po sprawie...

Nie usnęłam tej nocy. Potok myśli kłębił mi się w głowie, serce waliło jak oszalałe. X razy tłumaczyłam sobie, że była to jedyna droga do sukcesu, tak przeze mnie upragnionego! Ale sumienie podpowiadało, że ta droga to zabójstwo i kłamstwa! Przejdzie mi – pocieszałam się rano, wracając do domu.



Mijały miesiące, minął rok, potem drugi, ale nie przeszło. To, co uzyskałam – popularność, ciekawe propozycje ról w moim teatrze i w filmach, nawet zagranicznej produkcji, nie przytłumiło wspomnień z ulicy Szarej.

Marian też realizował swoje plany. „Kancelaria Adwokacka Marian Romaniuk” – taką tabliczkę przykręcił na drzwiach i odtrąbił sukces! Klientów nie brakowało. Nawet jak wracał do domu, to do późnej nocy pracował przy komputerze. Ja też biegałam do teatru na próby i przedstawienia oraz na plan filmowy. W międzyczasie wywiady, reportaże, wizyty u kosmetyczki, krawcowej, fryzjera. Zawsze dobrze umalowana, uczesana, ubrana, wygadana – ot gwiazda! Nasze konto pęczniało z dnia na dzień.

Marian zmieniał samochody na coraz bardziej ekskluzywne, jak mawiał – wypasione, bo jak cię widzą, tak cię piszą. I nie wypadało, żeby pan mecenas jeździł jakimś autem marnej marki. Nie znam się na tym, która marka jest marna, a która nie, i trudno mi było zaakceptować te fanaberie, ale gdy na piątą rocznicę ślubu zawiózł mnie do wspaniałej rezydencji i przeniósł przez próg, mówiąc, że to jest teraz nasz dom, zaniemówiłam z wrażenia. Spędziliśmy razem

wspaniały weekend. I tam poczęło się nasze drugie dziecko!

Gdy upewniłam się co do tego faktu, powiedziałam z radością Marianowi. Spojrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem i warknął:

– No chyba wiesz, co z tym faktem zrobić? Czy nam jest teraz potrzebne dziecko? Róża, ja stoję na progu kariery naukowej, za dwa, trzy miesiące otwieram przewód doktorski, od października zaczynam wykłady dla studentów na uniwerku, kancelaria działa dobrze i wzrasta jej popularność, no a ty? Zdajesz sobie sprawę z tego, że ciąża nie



sprzyja urodzie, że będziesz musiała zrezygnować z pracy w teatrze, odrzucić propozycje filmowców itd. na dłuższy czas? To, co zyskałaś, legnie w gruzach. A życie nie lubi próżni. Wygryzie cię jakaś wschodząca gwiazdka, nie wrócisz z pewnością na ten sam poziom popularności. Bierzesz to pod uwagę? To są przecież same straty, a jakie tu widzisz zyski?

W tym momencie zadzwoniła jego komórka i pędem pobiegł do garażu, wołając, że sprawę dziecka uważa za zamkniętą. Krzyknęłam za nim: – Ja je urodzę! – ale nie jestem pewna, czy usłyszał...

Wieczorem wyjeżdżałam na kilka dni na plan najnowszej produkcji filmowej. Zostawiłam Marianowi kartkę: „Urodzę nasze dziecko! Dom jest na tyle duży, że jego płacz nie będzie zakłócać twojej pracy. Możesz go nawet nie oglądać. Stać mnie na profesjonalną nianię. Dziecko jest dla mnie ważniejsze niż kariera i sława! – R.”

Gdy ciąża zaczęła być widoczna, Marian oszalał. Uważał, że go oszukałam, myślał, że „nie ma już sprawy”, a tu co?

– Przecież napisałam ci, że urodzę to dziecko, kartkę położyłam tu, na stoliku.

– Kartka? Jaka kartka? Nie było żadnej kartki – warczał jak wściekły pies.

– Była! – Płakałam rozpaczliwie! – Była!

Pani Stasia, nasza sprzątaczką, też zarzekała się, że nie widziała, a tym bardziej nie ruszała żadnej kartki.

Kartka znalazła się przy generalnych porządkach pod regałem. Widocznie przeciąg ją zdmuchnął, nie miało to już zresztą większego znaczenia.

Cecylka urodziła się w terminie, była zdrowa i śliczna. Ja wyjątkowo szybko doszłam do siebie, świata poza nią nie widziałam! Byłam szczęśliwa! Ale myśl, że córeczka mogła mieć starszą siostrę lub brata, pojawiała się jak wyrzut sumienia...

Marian mało się nią interesował. Dawał mi do zrozumienia, że jeżeli już mamy dziecko, to wolałby syna. Któregoś razu po takiej uwadze, palnęłam, zanim ugryzłam się w język, że jak się dobrze postara, to może będzie jeszcze syn. Gdyby jego wzrok mógł zabijać, to padłabym wtedy trupem na miejscu...

Mijały miesiące, mijały lata, wróciłam do pełnej aktywności zawodowej. Znów poczułam dreszczyk emocji przed premierą i słodki smak popularności. Paparazzi byli wszędzie, gdzie tylko się ruszyłam. Jeden wtargnął nawet na teren naszej rezydencji i zrobił zdjęcia bawiącej się na trawniku Cecylce. W brukowcu „FotoStar” opublikował



te fotki z komentarzem, że to dziecko jest moje, ale ojcem nie jest mój mąż, lecz znany reżyser, z którym współpracuję!

Wtedy w Marianie obudziła się ojcowska duma i postawa rycerza broniącego mojego honoru. Wytoczył gazecie proces i swoimi prawniczymi sposobami sprawił, że pismak otrzymał srogi wyrok. Od tego czasu było już trochę lepiej, chociaż gdy nie miał humoru, wrywało mu się, że z córki nie ma większego pożytku!

Gdy Cecylka zdała maturę z wyróżnieniem i dostała się na upragnioną medycynę, słyszałam jak w rozmowie z sąsiadem zza płotu, chwalił się tym. Dzwonił też do swojej ukochanej mamy

i opowiadał jej o sukcesach wnuczki. Bardzo się stropił, gdy zauważył mnie w pobliżu. A ja rozplakałam się ze szczęścia...

Po studiach córka wybrała kardiologię. Wszyscy jej tego odradzali. Mówili, że to jest robota dla silnego mężczyzny o mocnych nerwach, a nie dla filigranowej ślicznej dziewczyny. Ale postawiła na swoim! Jeździła po świecie, zbierała doświadczenia, uczyła się od najlepszych. Szybko zrobiła doktorat i habilitację.

Pracowała w klinice, w domu urządziła gabinet wyposażony w specjalistyczny sprzęt. Przyjmowała pacjentów, często do późnego wieczora. Zjeżdżali się praktycznie z całej Polski, również z zagranicy.

Pewnego styczniowego dnia przyjechała do nas teściowa. Dostała skierowanie do szpitala, bo czuła się od jakiegoś czasu źle. Pamiętam, że wieczorem siedzieliśmy w salonie przy kominku, Cecylka oglądała babci wyniki i wyraźnie posmutniała. Marian z trudem przyjechał z kancelarii, bo śnieg padał bez przerwy od poprzedniego dnia i zaspasy utrudniały jazdę.

– Całe miasto stoi, totalny paraliż! Ulice zablokowane. Jak otwierałem bramę, to widziałem we wstecznym lusterku, że jakaś ciężarówka nie wy-



robiła na zakręcie i stanęła w poprzek jezdni. Jesteśmy odcięci od świata!

Wspominaliśmy dawne dzieje, teściowa pamiętała takie zimy z lat siedemdziesiątych, gdy było dwadzieścia stopni poniżej zera.

– Ale i siły miałam nie takie, co teraz, bo chodziłam nawet po głębokim śniegu i po oblodzonej jezdni. Chodniki odśnieżano wtedy z dużym opóźnieniem, zgodnie z zasadą – aby do wiosny.

– No tak, babciu, ale wiek robi swoje. Nie martw się, załatwiłam ci dobry, lekki wózek transportowy, to chodzić daleko nie będziesz musiała, zwłaszcza że...

Ale Cecylka nie dokończyła zdania, bo babcia nagle głośno westchnęła, zacharczała i obsunęła się na fotelu, niemal spadając na ziemię. Zamarliśmy na moment z przerażenia!

– Dzwon po karetkę! – krzyknęłam do Marianna zupełnie bez sensu, bo przecież nie dojechałyby do nas albo wcale, albo z dużym opóźnieniem. Cecylka nie straciła głowy:

– Babcia jeszcze oddycha. Tato, wózek jest w przedpokoju, zawiozę ją do gabinetu.

Nie pozwoliła nam tam wejść, bo ja zaczęłam histerycznie szlochać, a Marian był blady jak

ściana. Przytuliłam się do niego i czekaliśmy w salonie, jak nam się wydawało, całą wieczność.

Cecylka przyszła do nas uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Spokojnie, kochani, było bardzo niebezpiecznie, ale jest już dobrze! Babcia teraz śpi. Saturację ma 96, czyli niezłą, serce się unormowało...

Coś jeszcze mówiła, ale niewiele z tego zrozumiałam, bo nerwy mi całkiem puściły i się rozkleiłam. Natomiast Marian odzyskał siły niespodziewanie szybko. Wziął Cecylkę w objęcia i zawołał:

– Córeczko, gdyby nie ty, to babcia by... – i tu jednak głos mu się załamał.

– Tak, tato, w takich przypadkach liczy się zawsze czas – odpowiedziała. – Na szczęście byłam w domu i... wszystko się dobrze skończyło.

– Zrobię herbatę, na pewno chętnie wypijemy i przegryziemy co nieco po tych przeżyciach – zaproponowałam, bo czułam, że to jeszcze nie koniec rozmowy ojca z córką.

Nie myliłam się. Kątem oka zerknęłam z kuchni do salonu – Marian siedział ze spuszczoną głową i trzymał Cecylkę za ręce. Mówił przez ściśnięte na supełek gardło:





– Córeczko, tu nie chodzi tylko o to, że byłaś akurat w domu, bo przez śnieżycę odwołano lot do Paryża. Tu chodzi o to, że w ogóle JESTEŚ! Nie chciałem dziecka! Nie chciałem, żebyś się urodziła, bo uważałem, że stajesz na drodze kariery – i mojej, i mamy. Namawiałem ją, żeby cię zabiła!

Ale mama wybrała ciebie, a nie sukcesy na scenie. Długo nie mogłem jej tego wybaczyć! Zrobiła coś wbrew mojej woli – urodziła cię. Trudno mi było cię pokochać przez wiele lat. Nie byłem dobrym ojcem. Liczyłem w związku z twoimi narodzinami same straty! A zysków, mówiąc językiem księgowego, nie widziałem. Nawet, gdy odnosiłaś tak wielkie sukcesy. Dopiero dzisiaj... Czy mi to kiedyś wybaczysz?

Ujemny bilans strat i zysków

*Lepszy mały czysty zysk
niż wielki a brudny*
Wojciech Wiercioch

Helenko, Helenko! Chodź tu szybko, przyszedł do nas pan z ambasady, ale bardzo się spieszył, nie mógł wejść. Przekazał nam list od Rity! Boże! Tak czekaliśmy na wiadomość od niej, prawda? Ten pan powiedział tylko, że list jakimś cudem do nich trafił. Ale podobno w środku jest wszystko wyjaśnione. O widzisz, do listu jest przypięta kartka, pewnie z ambasady. Słuchaj! *Rita była w naszej ambasadzie w Pakistanie, bo musiała załatwić formalności związane z po- bytem. Przyszła z obywatelem Pakistanu, który nie odstępował jej ani na krok. Była ubrana jak typowa pakistańska kobieta, widoczne były tylko oczy.*



Gdy zaistniała konieczność jej identyfikacji, Pakistańczyka wyprowadzono na ten czas z pokoju i wtedy, jak opowiadała sekretarka, Rita ściągnęła zawój z głowy i podała jej kartkę papieru, błagając, żeby wysłać ją do Polski, do rodziców. Sama nie może tego zrobić, bo jest stale pilnowana. Gdy pytano ją, jak można jej pomóc, powiedziała, że tak już musi być, że sama zgotowała sobie taki los. „Ambasada ma obowiązek troszczyć się o swoich obywateli na obcym terytorium” – dodała sekretarka – „i pani nie zostawi bez pomocy, ale warunki na miejscu są specyficzne, kobieta jest tu zawsze obywatelem drugiej kategorii i czarno to widzę”.

– Tadek! O co tu chodzi? Czytaj w końcu ten list, bo za chwilę zemdleję. Co ta nasza córka znowu narozrabiała? Co ona robi w Pakistanie? Ten biznes nie wyszedł jej na dobre! Zawsze miała ciągoty do interesów. Chciała być bizneswoman. I teraz, o Boże, no czytaj głośno.

Moi Kochani!

Piszę ten list od paru dni w toalecie i chowam za spluczką w nadziei, że nikt go nie znajdzie. Staram się opisać dokładnie ostatnie miesiące, może dla przestrogi innych kobiet. Wiem, że będę musiała wyjść z tej „warowni” do naszej ambasady i może wtedy uda mi się go przekazać do wysłania. Modłę się, żeby tak się stało, bo wyobrażam sobie, jak się denerwujecie, że się nie odzywam. Komórkę mi zabrali, żeby się nie kontaktowała z nikim, zresztą nawet nie wiem, czy tu by działała.

Internet mam tylko przez dwie godziny dziennie pod ścisłym nadzorem, i to tylko dlatego, że muszę przekazać sprawy biznesowe mojemu następcy. Tak, następcy, bo tu kobieta nie może być szefową.

Ostatnio się widzieliśmy, Kochani, chyba z pół roku temu. Pamiętam, że to był sierpień, bo ja zamiast wyjechać na urlop lub przynajmniej po-



móc Wam na działce, musiałam ratować swój biznes. Sieć niemal wszystkich sklepów stacjonarnych nie przynosiła zysków, lecz generowała coraz większe straty. Czysze i prąd za dzierżawione lokale drożały, pracownicy domagali się wyższych pensji, a klientów ubywało w zastraszającym tempie, bo i ceny nie były takie, jakich oczekiwali. Musiałam szukać optymalnego, zyskowego rozwiązania!

I znalazłam – uruchomiłam biznes elektroniczny, czyli sprzedaż butów przez Internet! Profesjonalny serwis WWW i reklamę przygotował znajomy informatyk po kosztach. Strona i informacje w mediach społecznościowych były również w języku angielskim, żeby nie ograniczać się do polskich klientów. We wrześniu interes ruszył na dobre. Klienci pochlebnie wyrażali się o moich e-sklepach. Musiałam pilnie szukać magazynów w różnych częściach świata!

I wtedy odezwał się Achnan... Oferował dużą powierzchnię pod budowę swojego Centrum Logistycznego obsługującego zachodnią i środkową Azję. Spotkałam go osobiście w Paryżu, gdzie odbywały się coroczne targi obuwnicze. Od pierwszego wejrzenia zaiskrzyło między nami. Postawny, śniady brunet, zawsze elegancko ubrany,

wykształcony, perfekcyjnie władający angielskim i francuskim, majątny.

W negocjacjach okazał się bardzo stanowczym i myślącym realnie o zyskach firmy biznesmenem. Wpatrywał się przy tym we mnie jak w obrazek, fascynowały go zwłaszcza moje błękitne oczy i długie blond włosy. Już po tygodniu byliśmy parą. Spóźniony jesienny urlop na Lazurowym Wybrzeżu wspominam jak sen! Ale – tak jak to bywa ze snami – czar prysnął.

Firmę internetową mogę prowadzić zdalnie z dowolnego miejsca na kuli ziemskiej – stwierdził Achnan i... pojechałam z nim do Pakistanu. Okazał się przy tym jego kunszt organizatorski i umiejętność korzystania z licznych znajomości. Wystarczyło kilka e-maili i telefonów, z których nic nie rozumiałam, bo mówił w swoim rodzinnym języku urdu, a na lotnisku w Islamabadzie nie miałam żadnych trudności. To jest ktoś, on wszystko może – zapaliło się we mnie czerwone, ostrzegawcze światło. Ale zaraz zgasło, bo Achnan mnie przytulił i wyszeptał do ucha: „Witaj w domu”.

Dom okazał się obszerną, ekskluzywną rezydencją, w której niepodzielnie rządził ojciec Achnana. Jego synowie nie mieli tu wiele do powiedzenia, także Achnan, najstarszy syn. Ojciec zadał mi



zaraz na wstępie kilka pytań i zażądał, abym przekazała swoją firmę młodszemu bratu Achnana – Sudenowi, abym wypisała się z Kościoła katolickiego, przeszła na islam i oddała wszystkie przedmioty kultu. Złoty krzyżyk z szyi zerwał mi osobiście i podeptał go, po czym próbował mnie zmusić do tego samego. Jak wiecie, nie jestem zbyt wierząca, ale tego nie mogłam zrobić...

Dowiedziałam się wtedy, że w takim razie mogę zapomnieć o ślubie z Achnanem, nie będę też pracować w swojej dawnej firmie z Sudenem, a tym bardziej współuczestniczyć w zyskach. Nie zobaczę też pieniędzy Achnana. Będę w rezydencji co najwyżej pomocą kuchenną. Ale ojciec w swojej do-

broci daje mi jeszcze czas do namysłu, bo gdybym zmieniła zdanie, to...

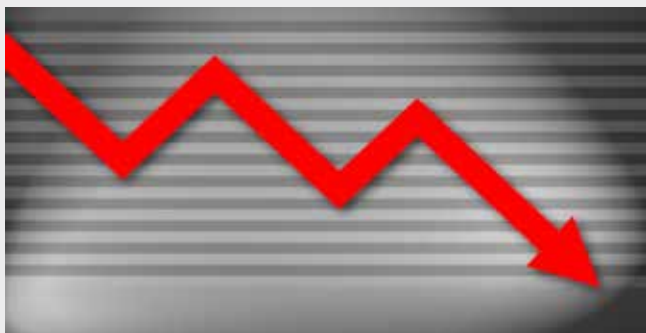
Zostałam zamknięta w niewielkim piwnicznym pomieszczeniu, w strasznych warunkach, ciemności i zimnie. Jedzenie, którego nie mogłam przełknąć, przynosił mi jakiś obleśny typ, oblizujący się od ucha do ucha na mój widok. Straciłam poczucie czasu. Gdy w końcu któregoś dnia wyprowadzono mnie z tego lochu, gdy zobaczyłam Achnana... zgodziłam się na wszystko. Podpisałam apostazję, ucałowałam Koran, przebrałam się w strój, w którym chodzą tu kobiety. Ale – co będzie dalej? Czy otrzymam chociaż jakąś namiastkę wolności?



Gdy jestem sama, modlę się do Jezusa i Maryi, choć tyle lat tego nie robiłam, prosząc o pomoc. Może miłosierny Bóg mi wybaczy to, że zdradziłam Go, że zdradziłam Kościół – dla pieniędzy, dla bonusów, aby zyskać coś, co jest ulotne i niepewne. A mogłam przecież pracować tu w kuchni, próbować uciec, może przy pomocy Achnana? Może i on dałby się namówić na wyjazd stąd? Nie wiem, nie wiem, co będzie dalej. Chcę...

– Tadek! I to koniec?

– Tak, nic więcej nie napisała. Zdanie jest urwane, widocznie nie mogła już więcej napisać. A jeszcze tu, na boku, jest nasz adres. Helenko, nie płacz, proszę! Zrobimy, co tylko jest możliwe, żeby ją uratować. Poruszymy niebo i ziemię...



– Tadek! Co my możemy? Trzeba tylko szturmować niebo! Straszne to wszystko. Cóż ona zyskała? A wiele straciła! I tak nie będzie już tam kobietą sukcesu. I nie będzie już sobą! Zeżrą ją wyrzuty sumienia, tęsknota za Polską, za wolnością. Bilans strat i zysków wyszedł ujemny!

Czy zawsze można zyskać na czasie?

*Gdzie pozorny zysk,
tam muszą być i straty*
Wojciech Wiercioch

Na sylwestrowy wieczór nie spodziewaliśmy się tłumów, ale przygotowanie czegoś na ząb i tak zajęło nam niespodziewanie dużo czasu. Dlaczego? Bo Krzysztof chciał – jak mówił – zaoszczędzić na czasie i na zakupy do centrum handlowego „Merkury” pojechał nie wskazanym przez znaki drogowe objazdem, ale prosto przez remontowaną właśnie drogę.

Co prawda w przeddzień Sylwestra po południu robotnicy już nie pracowali i, jak okiem sięgnąć, nie było widać koparki ani spychacza, ale na drodze stanął nam jakiś zapomniany krawężnik. Krzysztof go spostrzegł w ostatniej chwili, bo droga nie była porządnie oświetlona, próbował



wyminąć przeszkodę, ale nie zauważył, że z boku jezdni jest wykopany głęboki rów, pewnie pod jakieś rury. A ponieważ do tego jechał pięćdziesiątką, to zarył się w ziemię na dobre. I ani wte, ani wewte! Nawet drzwi nie mogliśmy otworzyć.

Za parę minut przyjechała policja, którą zawiadomił chyba jakiś przypadkowy przechodzień, potem pogotowie i straż pożarna. Zrobiła się niezła afera. Na szczęście nic się nam nie stało, bo strach pomyśleć, co byłoby wówczas, gdyby zapalił się bak z benzyną! Skończyło się na potężnym mandacie, punktach karnych i odholowaniu samochodu do warsztatu.

– Tak wygląda twój zysk na czasie – biadałam wieczorem, parząc melisę na uspokojenie. – Gdybyś pojechał objazdem, gdybyś chociaż jechał wolniej, gdybyś spojrzął na pobocze..., to nie stracilibyśmy pięciu godzin, kupy kasy...



– Oj, Julka, dałabyś już spokój! Stało się i już! Dzięki Bogu, jesteśmy cali, a zakupy zrobimy jutro rano. Zadzwońię do Dawida, że mnie nie będzie z ważnych powodów rodzinnych, a wieczorem szepnę mu na ucho parę słów wyjaśnienia. Przecież zaprosiliśmy go z żoną na Sylwestra.

– No, ale gdybyś...

– Julka! Mam ci przypomnieć, jak to było w ubiegłym roku na tym skrzyżowaniu dwie ulice dalej? Też chciałaś zyskać na czasie i przejechałaś je na zapalającym się właśnie czerwonym świetle. Wciąż widzę ten autobus, który miał już zielone, ale zatrzymał się przed nami dosłownie o mili-



metr! Mandat też wtedy nie był mały, a i wstyd mi było za ciebie.

– No bo spieszyłam się do lekarza i dlatego...

– To dobrze, że nie zabrało cię wtedy pogotowie, bo zobaczyłabyś lekarza szybciej niż myślałaś.

Chwilę przed 20.00 kolacja sylwestrowa była gotowa. Krzysztof stanął na wysokości zadania i pomagał bez marudzenia. Trochę się dziwiłam, że tak szybko uporał się z karpem, którego zamroziłam przed Wigilią, gdy okazało się, że nie wszyscy goście dojadą, ale nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzać, czy usunął wszystkie ości. Zresztą wkrótce okazało się, że nie usunął ich

wcale, bo pomyślał, że każdy zrobi to sam, a on w tym czasie napisze parę SMS-ów z życzeniami. Czysty zysk! Czas to pieniądz, a SMS-y były służbowe. Nie można przecież w takim momencie zapomnieć o kontrahentach, prawda?

Gdy teściowa zaczęła nagle podejrzanie kaszleć, aż oczy wychodziły jej z orbit, i dusić się, wskazując na półmisek z rybą, stało się jasne, co jej utknęło w gardle. Skończyło się na pogotowiu! Na szczęście ratownik poradził sobie z tą ością. Tak niefortunnie rozpoczęty wieczór potoczył się dalej względnie normalnie.

Grubo spóźniony dotarł do nas brat teściowej, wuj Zbyszek, bo na dworcu miał problem z taksówką.

– Krzysztofie, dlaczego nie pojechałeś na dworzec po wuja? – denerwował się teść.

No i wówczas wyszło szydło z worka. Krzysztof musiał opowiedzieć o swojej „wpadce” i jej konsekwencjach. Dołożył też historię o moim skrzyżowaniu, a po nim usłyszeliśmy jeszcze kilka podobnych historii, których bohaterowie chcieli zyskać na czasie.

Wujek Zbyszek przyznał, że gdy pociąg zjechał na peron ze sporym opóźnieniem, to on przeszedł nielegalnie przez tory i szukał postoju

taksówek z tyłu za dworcem, bo pamiętał, że tam był. Ale że od ostatniej wizyty wuja u nas trochę się zmieniło i musiał przejść cały kawał drogi do następnego postoju, bo telefon w centralach taxi milczał lub informował, że abonent jest dziesiąty w kolejce. No cóż, to przecież Sylwester! I na czasie wcale nie zyskał, wprost przeciwnie!

Ciocia Pelcia z wypiekami na twarzy zaczęła wspominać swoje szkolne lata i ze wstydem oznajmiła:

– ...może ja na to nie wyglądam, moi kochani, ale na klasówkach ściągałam. Nie było wtedy komórek, słuchawek do uszu. Ściągi robiło się same-mu na tzw. harmonijkach – wąskich paskach



papieru. Pisząc teksty na tych kartkach, doświadczyłam, że wiadomości wchodziły same do głowy. Ale sporządzenie takiej ściągę zajmowało dużo czasu. Więc ją pewnego razu kupiłam (za batonik orzechowy) potrzebną ściągę u kolegi prymusa, a jednak miałam przechlapane. Nauczycielka chodziła bowiem przez całą godzinę po klasie i mało co udało mi się znaleźć w tekście, którego wcześniej nawet nie przeczytałam. Tak więc zyskałam na czasie, ale straciłam na ocenie. A potem i tak musiałam siedzieć przez parę godzin, żeby na poprawce jakoś się wybronić. Oczywiście już bez ściągę, bo byłam pod specjalnym nadzorem.

– Wujku, ciociu! – zawołałam z uśmiechem – bardzo dziękuję za szczerłość. I za naukę – dla nas wszystkich. A może jeszcze ktoś z was opowie o swoich podobnych doświadczeniach? Bardzo pouczające i ciekawe są te wszystkie opowieści, prawda? Pójdę na chwilę do kuchni podgrzać bigos, ale zaraz wracam.

Po dłuższej chwili ciszy, kiedy to goście delektowali się moim pokazowym, tradycyjnym daniem, odezwał się Mateusz, mój starszy brat, jedyny biznesmen w naszej rodzinie:

– Kochani! Ja powiem krótko, bo – jak to się mówi – czas to pieniądz, a poza tym obiecałem



Miłce, że wrócę przed północą. Została w domu, bo w ciąży niezbyt dobrze się czuje. Termin porodu mamy za miesiąc. Czekające nas obowiązki rodzicielskie spowodowały, że poważnie przyjrzałem się pracy w mojej firmie. Będę przecież wkrótce potrzebował więcej czasu dla rodziny! Zastanawiałem się więc, jak zyskać na czasie, jak wyeliminować konieczność mojej nieustannej dyspozycyjności. Niestety mam taki charakter „Zosi Samosi” – sam wszystko zrobię najlepiej! Powiedziałem sobie: dość! Widziałem, jak Miłka cierpi, gdy o każdej porze dnia i nocy odbierałem telefony od kontrahentów i gdy długo rozmawiałem z pracownikami, którzy nie umieli podjąć decyzji w najprostszych, bieżących sprawach.

Zorganizowałem specjalistyczne szkolenia z zarządzania i organizacji pracy, zrewidowałem zakresy obowiązków pracowników, przeprowadziłem szereg rozmów z moimi zastępcami i... odetchnąłem. „W określonych godzinach nie ma mnie dla nikogo” – przykazałem sekretarce. „Choćby dzwonił sam minister!” – dodałem już z uśmiechem, bo te decyzje budziły jednak sporo emocji. Razem damy radę! I jest dobrze! Firma nie straciła na tej reorganizacji, widać to wyraźnie po wskaźnikach ekonomicznych za ostatnie dwa miesiące. Miałem mówić krótko, więc wybaczcie teraz, że was pożegnam, jadę do Miłki, bo czas to również miłość! Życzę wam dużo dobra od Boga



i od ludzi w nadchodzącym roku! Julka! Bigos, jak zawsze, był wspaniały!

Zrobiło się trochę zamieszania przy wyjściu Mateusza, bo pakowałam dla Miłki trochę sylwestrowych wiktuałów, ale przy ciastach i pierniczkach temat powrócił, bo odezwała się moja kuzynka Judyta.

– Julka, tak zerkałam, jak szykowałaś wałówkę dla Miłki, jak szukałaś pojemnika na sałatkę, woreczka i tacki na ciasto, folii na pieczeń... I zobaczyłam siebie sprzed paru miesięcy. Wtedy wyjeżdżał w delegację mój syn. Zanosił się na bardzo długą podróż, więc chciałam mu zapakować coś na obiad, kolację i śniadanie. Co prawda mówił, że nic nie weźmie, że nie jedzie przecież na pustynię, że jest wagon restauracyjny, sklepy na dworcach itp., ale ja go „sterroryzowałam” i w końcu zapakowałam do dużej torby to wszystko, co sobie umyśliłam. Stał już ubrany w przedpokoju i marudził, że przeze mnie spóźni się na pociąg, że już najwyższy czas, żeby jechał na dworzec. Miałam go odwieźć, pobiegliśmy więc do garażu, a tu klops! Przednia opona sflaczała! Taksówka przyjechała po dziesięciu minutach, ale nie zdążyła dotrzeć na dworzec na czas. Pociąg odjechał parę minut wcześniej... syn stracił szan-

sę na awans w urzędzie, bo szkolenie przeszło mu koło nosa! Ma o to do mnie żal do dziś. Ale ja wyciągnęłam wnioski dla siebie z tego zdarzenia i zrobiłam porządek w kuchni – woreczki leżą tu, pojemniki tam, folia obok woreczków itd. Przy okazji przestawiłam garnki do innej szafki, zorganizowałam taką „linię produkcyjną” od zlewu do kuchenki i wprowadziłam jeszcze parę drobnych udogodnień. Zyskałam na czasie przy przygotowywaniu posiłków. Niby drobiazgi, ale polecam wam wszystkim taką minirewolucję w domu. W razie potrzeby, służę radą.

Zrobiło mi się trochę głupio, bo wszyscy patrzyli na mnie jak na winowajcę.



– Mam nadzieję, że Mateusz zdąży przed północą dojechać do Miłki – powiedziałam dość niepewnym głosem.

– Nie martw się, dojedzie, a my poszalejemy w kuchni i nie tylko – ratował sytuację mój Kochany Krzysztof. Obdarzyłam go za te słowa promiennym uśmiechem.

– I pan Mateusz, i pani Judyta pokazali, że można zyskać na czasie w dużych i w małych sprawach. Ja opowiem, jakie gorzkie doświadczenie zafundowałam sobie w życiu... – powiedziała cicho pani Olga, nasza nowa sąsiadka, Ukrainka, wynajmująca kawalerkę na parterze.

Jakiś miesiąc temu pomogłam jej otworzyć drzwi wejściowe, bo porusza się o kulach, i tak się poznałyśmy. Mówiła dobrze po polsku, aż się zdziwiłam, ale z dumą oświadczyła, że ma polskie korzenie. Spędziła już z nami Wigilię, dziękowała ze łzami w oczach, a teraz wspólnie czekamy na Nowy Rok, zajadając się tradycyjną ukraińską sałatką „oliwier”. Pani Olga przygotowała wielką miskę tego specjału.

– Jak widać, mam problemy z chodzeniem, poruszam się o kulach z wielkim trudem. To skutek upadku, który przydarzył mi się dwa lata temu. Ktoś może powiedzieć, że upaść może każdy



i w każdej chwili, prawda? No bo, na przykład, potknie się o kamień, zamyśli się, nie uważa, jest pijany itd. Powód mojego upadku był inny i właściwie sama jestem sobie winna. Tak, to są straszne słowa! Byłam osobą bardzo zapracowaną. Od wielu lat prowadziłam badania naukowe z zakresu farmacji na uniwersytecie w Kijowie. Dziesięć lat temu obroniłam doktorat i w pełni poświęciłam się tej pracy. Godzinami tkwiłam w laboratorium i przy komputerze. Szkoda mi było czasu na cokolwiek innego. Fascynatka – mówił o mnie rektor, wariatka – uważali inni.

Nie miałam rodziny, męża, dzieci, z dalszymi krewnymi nie utrzymywałam kontaktu, moimi znajomymi byli tylko koledzy z instytutu. Rozmawiałam z nimi wyłącznie o sprawach zawodowych. Żadnych wspólnych wypraw w góry, wieczorów przy szachach, grillowania na działce... Żyłam skromnie, na granicy zaspokajania podstawowych potrzeb. Bardzo często bolała mnie głowa, ale kładłam to na karb niedospania, przemęczenia. Sięgałam po najlepsze i najmocniejsze środki przeciwbólowe, jestem przecież farmaceutką! Czasem przebiegła mi przez głowę myśl, że warto byłoby zrobić jakieś badania, ale niczego takiego nie podjęłam. Bałam się godzin spędzo-

nych w poczekalniach, terminów, kolejek, bałam się też ewentualnej diagnozy, długotrwałego i czasochłonnego leczenia... Nawet badania okresowe, które musieli przechodzić wszyscy pracownicy uniwersytetu co jakiś czas, załatwiałam... „sposobem”. Lekarka, która podbijała książeczki zdrowia i wypisywała dokument o zdolności do pracy na danym stanowisku, była moją koleżanką jeszcze z liceum i uwierzyła mi na słowo, że nic mi nie jest. Potrzebowała tylko podkładkę – wyniki badania krwi z laboratorium. Słyszałam, że laboratorium jest u nas takim wąskim gardłem i tworzą się tam codziennie długie kolejki. Uniwersytet bowiem zatrudniał wtedy przeszło półtora tysiąca pracowników. Chciałam zyskać na czasie, raz spróbowałam wejść do gabinetu bez kolejki, ale groźny tłumek nie pozwolił mi na to. Wpadłam więc na pomysł, żeby ktoś, oczywiście zdrowy, poszedł tam za mnie, i udało się. Pani Lena, która sprzątała w laboratorium, zgodziła się na to w zamian za bombonierkę. Dałam jej swój dowód osobisty, w tym „młynie” nikt się nie przyglądał zdjęciu, w rejestracji odhaczyli, że byłam i miałam wyniki jak młody bóg. Sama niemal w nie uwierzyłam, ale na krótko, bo samopoczucie miałam coraz gorsze. Gdy po raz drugi zasłabłam

przy komputerze, kolega wezwał pogotowie. Na izbie przyjęć spędziłam kilka godzin – co za marnotrawstwo czasu! I gdy po trzech kroplówkach poczułam się lepiej, nie czekając na wyniki z laboratorium ani na opis tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego głowy, chyłkiem wymknęłam się ze szpitala. Następnego dnia, jak gdyby nigdy nic, poszłam do instytutu. Kolegom zatroskanym o mój stan odpowiedziałam, że wszystko w porządku, że to był fałszywy alarm. Ale gdzieś tak po godzinie zostałam wezwana do gabinetu rektora. Okazało się, że dzwonił do niego przed chwilą dyrektor kliniki chorób wewnętrznych, dobry znajomy rektora, i opowiedział mu o moim oddaleniu się z izby przyjęć. Próbowałam wejść mu w słowo i obrócić wszystko w żart, ale na nic się to zdało. „Pani Olgo, jest pani ciężko chora. Proszę natychmiast wrócić do szpitala. Szczegółów nie znam, bo to jest tajemnica lekarska, ale wyniki badań wskazują na coś poważnego! Sekretarka zaraz wezwie karetkę”. Zakręciło mi się w głowie, w ostatniej chwili złapałam się biurka, żeby nie zsunąć się z krzesła. „Panie rektorze! Mam przygotowane preparaty do badań. Muszę je obejrzeć i opisać. Jak mam się kłaść na oddział, to chciałabym zabrać z domu

potrzebne rzeczy. Obiecuję, że jutro, pojutrze zgłoszę się do szpitala, dobrze?”. „No cóż, jest pani dorosła, nie podoba mi się to, ale przecież siłą nie wsadzę pani do karetki... Życzę szybkiego powrotu do zdrowia i do instytutu!”. Nad preparatami siedziałam do wieczora. Po rzeczy do mieszkania jednak już nie dotarłam, bo zasłabłam na schodach i spadłam na dół, tracąc świadomość. Z wielkim trudem wybudzono mnie po operacjach głowy i – później – obu połamanych bioder.

Usunięto mi guza mózgu i sporego krwiaka, który powstał w wyniku upadku. Dodatkowo stwierdzono poważną anemię, nadciśnienie tętnicze i cukrzycę, dość już zaawansowaną. Prze-



szłam radioterapię, następnie parę serii chemii. Nie wiadomo jeszcze, czy guz nie odrośnie, bo to się zdarza, lub czy dał gdzieś przerzuty. Jestem na lekach, nikt nie potrafi powiedzieć, co będzie dalej. Z nogami zrobiono, co było można, na co pozwalał mój ogólny stan. Gdy Rosja napadła na mój kraj, zostałam ewakuowana do Polski. Jako pacjentka onkologiczna trafiłam najpierw do hospicjum, ale po pewnej poprawie zdrowia, co sugeruje tzw. remisję choroby, mój instytut w Kijowie zasponsorował wynajęcie mieszkania i rentę, z której się tu utrzymuję. Mogłam zamieszkać u pewnego małżeństwa z piątką dzieci, ale nie chciałam być dla nich ciężarem. A ta rodzina to wspianiali, dobrzy ludzie. Przychodzili do hospicjum jako wolontariusze. Rodzice pomagali w kuchni i pralni, dzieci – uzdolnione muzycznie – śpiewały na Mszach świętych w tamtejszej kaplicy. Tu na razie sobie jakoś radzę dzięki waszej życzliwości, kochani sąsiedzi. Mam teraz dużo, a nawet bardzo dużo czasu na przemyślenie swojego dotychczasowego życia. Nie wiem, ile mi jeszcze czasu da Bóg na tej ziemi. Ale wiem, że czas jest skarbem, którym trzeba bardzo roztropnie dysponować! Tak tu siedzę naprzeciw wiszącego na ścianie zegara, patrzę, jak mijają sekundy,



minuty, godziny ostatniego dnia w roku i nachodzą mnie właśnie te wspomnienia, refleksje, którymi się podzieliłam.

Minionego czasu nie odzyskam, ale może komuś z was, czy waszym bliskim, przyjacielom, znajomym, którym opowiecie moją historię, zdołam uratować życie? Nawet, gdy moje dobiegnie kresu.

Przytuliłam panią Olgę i obie płakałyśmy, nie wstydząc się łez...

Dwa sposoby na duże zyski

*Z zysku, z czego by-kolwiek był,
dobry zapach jest lub smród*
Andrzej Frycz Modrzewski

Mamo, mam! Aresztowali Szczepana! Dzisiaj rano przyszła do domu policja, chyba antyterrorysty, bo zamaskowani. Olaf był już na dole i na sygnał dzwonka otworzył automatycznie drzwi. Wpadli do naszej sypialni, rzucili go na podłogę, skuli kajdankami. Byłam przerażona, zarzuciłam mu tylko na piżamę bluzę, wołałam, że to chyba pomyłka, ale błyskawicznie go wyprowadzili i odjechali. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że oglądam jakiś kryminał. Ale niestety to działa się w realu! Mamo, czemu nic nie mówisz? Słyszysz mnie? Mamo!

– Eliza! Może to faktycznie pomyłka! Idź z Olafem na najbliższy komisariat, niech wyjaśnią, o co



chodzi. Czy Szczepan się w coś wplątał? O Boże, Boże!

– Mamo! Weź coś na uspokojenie. Masz w domu walerianę? Już jest po ósmej, to będziemy się zbierać. Na szczęście Olaf nie pojechał z kolegami na wycieczkę do Berlina, jest mi rażniej. Też wezmę walerianę, bo nogi mam jak z waty. Co ten Szczepan narobił? Mówiłam mu, żeby nie utrzymywał kontaktu ze zbirami. Bo wiesz, od jakiegoś czasu kręciły się tu podejrzone typy. Nie wyglądali na kontrahentów ani na klientów.

– Eliza! To wtedy trzeba było wezwać policję. Przynajmniej by ich wylegitymowali. A tak, szukaj wiatru w polu. Szczepan mówił ci, jak idą intere-

sy? Pytałaś go, jak wypadł roczny bilans? Czy ma zyski?

– Oj, mamo, teraz musimy już iść. Zapakuję mu jeszcze jakieś ubranie, szczoteczkę do zębów itp. Może mu dostarczą. A ciekawe, czy będę mogła z nim porozmawiać? Mamo, trzymaj się! Zadzwonię później!

Na policji nie dowiedziałam się wiele.

– Mąż jest podejrzany o szereg malwersacji gospodarczych. Wkrótce prokurator przedstawi mu zarzuty, z tego co słyszałem, jest to długa lista. Na tym etapie śledztwa nie mogę pani powiedzieć nic więcej. Zgody na widzenie z mężem teraz pani na pewno nie dostanie. Nie wyjdzie też za kaucją, bo istnieje podejrzenie, że może mataczyć – powiedział mi oficer dyżurny. – Damy znać, bo pani będzie poproszona z pewnością o złożenie wyjaśnień.

Następnego dnia w lokalnej prasie, na pierwszej stronie, ukazał się artykuł redakcyjny pod tytułem: „Znany miejscowy biznesmen, właściciel firmy odzieżowej, Szczepan K. – aresztowany! Jest podejrzany o przemyt narkotyków, pranie brudnych pieniędzy, oszustwa podatkowe, o mobbing w zakładzie...”. Resztę tekstu zalały mi łzy! Czy to wszystko prawda? Czy Szczepan to zrobił, czy ktoś

chce na niego zrzucić winę? Tak się ostatnio cieszył, że firma zaczęła przynosić w końcu zyski. Czy to były brudne zyski? O Boże, co będzie dalej?

Dalej sprawy potoczyły się bardzo szybko. Szczepan dostał decyzję o trzymiesięcznym areszcie. Trafiła tam również księgowa, dwóch zastępców Szczepana i główny technolog.

Firmę przeszukano, znaleziono duże ilości amfetaminy, którą umieszczono w małych saszetkach między partiami wysyłanej odzieży. Pakowaczkom powiedziano na szkoleniu, że jest to substancja absorbująca wilgoć w czasie transportu. Produkcja została wstrzymana, policyjni in-



formatycy wzięli pod lupę firmowe komputery, drzwi zaplombowano...

Po dobrych paru miesiącach sprawą zajął się sąd, po kolejnych – ogłoszono wyroki, bo uznano Szczepana i jego współpracowników winnymi zarzucanych im czynów.

Musiałam nauczyć się żyć w samotności. Podjęłam znów pracę zawodową, którą przerwałam na prośbę Szczepana. Olaf bardzo przeżywał tę sytuację z ojcem. Wydorosłał, spoważniał, poczuł się odpowiedzialny za mnie, za dom. Skończył studia z zarządzania, miał być przecież następcą ojca, miał przejąć jego firmę. Ale czy potrafiłby ją poprowadzić dobrze, uczciwie, odpowiedzialnie?

Przyjaciółka poleciła mi swojego znajomego prawnika, żeby zbadał status firmy Szczepana. Gdy przeczytałam jego ekspertyzę – zamarłam z wrażenia! To ja jestem władna zostać jej szefem! Nie widziałam się zupełnie w tej roli! A Olaf – dopiero co po dyplomie, z mizernym doświadczeniem zawodowym. Co robić? Szczepan jeszcze długi czas spędzi za kratkami. Postanowiliśmy z Olafem, że jednak jeszcze poczekamy ze wskrzeszeniem firmy, przynajmniej do jesieni. Wtedy kończą się prace sezonowe, więc łatwiej będzie odbudować zespół pracowników.

I to była dobra decyzja! Olaf poznał w czasie wakacji Emilkę, uroczą blondynkę o ujmującym uśmiechu. Miejsce, w którym się spotkali, było jednakże nie wakacyjne. Nie była to bowiem ani plaża, ani górski szlak, ani dworzec czy lotnisko, ale... brama więzienna!

Pewnego lipcowego dnia Olaf miał wyznaczone widzenie z ojcem. Pojechał tam sam, bo ja wtedy, pomimo upałów, złapałam jakąś wirusówkę i byłam całkiem rozbita, trzęsły mną dreszcze, praktycznie nie wychodziłam z toalety. Nawet, prawdę mówiąc, było mi to na rękę. Bardzo przeżywałam każdorazowe wizyty w więzieniu. Te ponure mury, kraty, strażnicy, rozmowy w towarzystwie innych więźniów i ich gości, to wszystko było przygnębiające i pogłębiało moje przekonanie o tym, że nie przebaczyłam do końca, z serca, Szczepanowi jego występki. Bo gdyby tak było, to pewnie nic by mnie nie powstrzymało od odwiedzin u męża, pomimo choroby.

Widziałam, że Olafa mimo wszystko ciągnie do ojca. Wtedy też chętnie pojechał do Ciechanowa. I – jak później mi opowiadał – to była podróż jego życia! Gdy wychodził już po spotkaniu z ojcem i szedł na parking, zobaczył piękną dziewczynę stojącą bezradnie przed białym

nissanem, zaparkowanym akurat obok jego mazdy.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? Coś się zepsuło? – zapytał „po sąsiedzku”. A gdy dziewczyna spojrzała na niego swoimi błękitnymi oczyma i uśmiechnęła się z wdzięcznością, był już – jak wspominał – „ugotowany na miękko”!

– Nie mogę ruszyć! Silnik warczy i nic – powiedziała jednym tchem. – Jeżdżę od dwóch lat tym samochodem i jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło! Przyjechałam tu do ojca, ale nie mogłam się z nim zobaczyć, nie uprzedził mnie, że ma jakąś wizytację na wysokim szczeblu. Więc tym bardziej nie będzie mógł mi teraz pomóc.

– Też byłem u ojca na widzeniu. Nie zauważyłem żadnej wizytacji. A zresztą pani myśli, że strażnicy wypuściliby ojca przed bramę, żeby naprawił samochód? Nie wydaje mi się to możliwe. Przecież...

– Ojej, pan myśli, że mój ojciec jest osadzonym? Ale numer! – zaśmiała się serdecznie. – Gwarantuję panu, że wyszedłby z pewnością, ale przed godziną pojechał z tymi gośćmi z ministerstwa na jakąś naradę do urzędu wojewódzkiego. Tak mi powiedziała sekretarka. Mój ojciec jest dyrektorem tego więzienia!

Olaf wspominał, że wtedy nogi się pod nim ugięły i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Ale jakoś nie dał tego po sobie poznać. Zajął się samochodem i po dobrej chwili znalazł powód tej awarii – w rurze wydechowej tkwiła spora porcja szmat!

Jego diagnozę potwierdził jednoczesny chichot dochodzący z pobliskich krzaków. Gdy ruszył w tym kierunku, sprawcy głupiego kawału uciekli z piskiem. Mówił, że mógłby ich bez trudu dogonić, ale uznał, że... to los mu ich zesłał...

Znajomość z Emilką została zawarta pomimo kuriozalnej sytuacji, w której zaiskrzyło między nimi, przeistoczyła się szybko w miłość, a następnie ślub!

Zapatrzeni w siebie, nie bujali jednak w obłokach. Zaczęli realnie myśleć, jak rozruszać firmę ojca. Emilka była świeżo upieczoną absolwentką psychologii, a jej starszy brat od kilkunastu miesięcy prowadził z żoną prywatne przedszkole. Miał też za sobą niedługą, ale zawsze – karierę biznesmena. Natomiast mama Emilki była prezesem dużej firmy produkującej ubranka dla dzieci do lat pięciu.

Wielogodzinne narady w gronie przyszłej rodziny zaowocowały pomysłem na nasz nowy



biznes, zbudowany na bazie „spalonej” firmy Szczepana. Mieliśmy głębokie przekonanie, a jednocześnie pragnienie serca, aby ta nowa odsłona była nieskazitelna pod kątem prawnym, organizacyjnym i etycznym. Zwłaszcza, że miały to być piękne, głównie biało-złote sukienki i alby pierwszokomunijne. Rozeznanie rynku i konkurencji pokazało, że z takim asortymentem w naszym regionie warto wyjść do klientów.

Emilka i Olaf rzucili się z entuzjazmem w wir przygotowań do tej, jak mówili, „świętej produkcji”. Zaplanowali też gustowny butik w pobliżu firmy, w którym klienci mieliby szeroką ofertę naszych pięknych strojów, ale również byłyby



dostępne białe butki, sandałki, czółenka, lakierki, wianuszki, rękawiczki, pelerynki i inne dodatki, a także różne pamiątki oraz upominki dla małych „komunistów”, sprowadzane od zaprzyjaźnionych producentów.

Olaf okazał się bardzo dobrym organizatorem całego przedsięwzięcia. Wiedza z zarządzania – owocowała! Sekundowała mu Emilka, trafnie wybierając pracowników na różne stanowiska, począwszy od ochroniarzy, a skończywszy na pracownikach administracji i oczywiście produkcji. Pracę magisterską napisała na temat: „Sztuka zarządzania talentami”. Przyznam się, że początkowo nie widziałam związku tego tematu z na-

szymi prozaicznymi potrzebami kadr – sprzątaczkami, szwaczki, pakowaczki, urzędniczki... Sądziłam, że talenty obejmują tylko artystów – aktorów, muzyków, malarzy, tancerzy, śpiewaków... Ale moja przyszła synowa wyjaśniła mi, że każdy zawód może być bardzo dobrym miejscem rozwijania talentów, czyli zdolności, pomysłowości, umiejętności, uzdolnień, zręczności, pasji, inwencji twórczych. Każda praca wykonywana z pasją, zamiłowaniem, zacięciem – z sercem – przynosi dobre owoce. I to są właśnie, często ukryte w ludziach, talenty – jak perełki – i ona takich ludzi szuka!

Jak powiedziała, tak też zrobiła! Personel mieliśmy wspaniały już na początek działalności.

Wielkim wyzwaniem było także techniczne przygotowanie hali produkcyjnej, dosłowne odkurzenie maszyn krawieckich, opracowanie zasad dystrybucji i promocji. Ja zajęłam się szczególnie harmonogramem zadań, symulacją kosztów stałych i zmiennych, pozyskiwaniem dostawców, materiałów i źródeł finansowania, a także – co szczególnie wszystkim interesowało – prognozowaniem zysków. Podkreślałam! Całkowicie legalnych i czystych zysków. Symulacje były obiecujące!



Przysłowiową wisienką na torcie był biznes internetowy – e-sklep pod nazwą „Dar i tajemnica”, który zaprojektował i uruchomił Sylwek, przyjaciel Olafa. No tak, młodzi patrzą szerzej, nie zawężają horyzontów.

Niedawno zrodził się pomysł, aby uruchomić w e-sklepie wirtualną przymierzalnię, a za rok czy dwa powiększyć asortyment produkcji o... ślubne stroje, projektowane na indywidualne zamówienie młodej pary. I to jeszcze nie była kropka nad „i”. Szczepan wyszedł z więzienia za dobre sprawowanie szybciej, przed odsiadką całego wyroku. Nie poznawałam go, był całkowicie odmieniony!

Opowiadał o wspaniałym kapelanie więziennym, z którym dużo rozmawiał, Zrozumiał dzięki niemu, że dotychczasowe życie musi zmienić. I zmienił je diametralnie. Włączył się niemal z marszu w sprawę firmy, ale nie przejął sterów. Szefem był nadal Olaf. Tak ustalili w męskiej rozmowie i tego przestrzegali. Powiedział mi na ucho, że więzienie więzieniem, ale on czuje, że powinien jeszcze odpokutować za swoje „grzechy biznesowe”...

Teraz będę się uczyć od własnego syna, jak uczciwie prowadzić biznes. I jeszcze tego, że zyskiem trzeba się dzielić z innymi. Bo – jak mówi Olaf – więcej zyska ten, co dał, bo więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu!

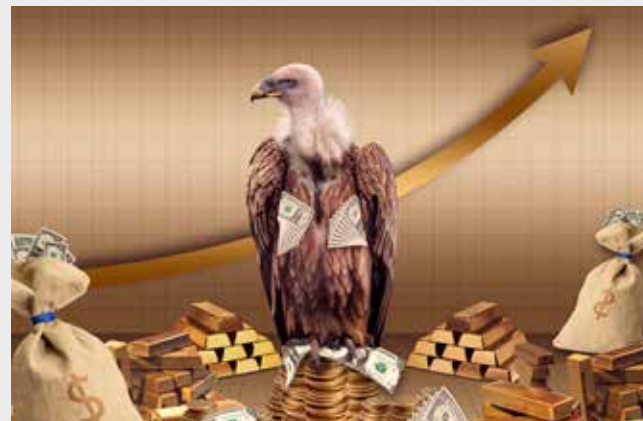
Zysk za wszelką cenę? Zastyszane...

*Brudne sumienie, brudne ręce, brudne pieniądze,
a w efekcie „czysty” zysk*

Stanisław Fornal

...w sklepie „Żabka”

– Dzień dobry, pani Zosiu! Pani znów za ladą? Przecież jest niedziela. Właśnie wracam z kościoła i zachciało mi się wafelków, pamięta pani,



które brałam ostatnio? O, te! A nie może pani poprosić wujka, żeby dał pani wolne? Przecież pani też jest katoliczką, prawda?

– Tak, pani Wiesiu, chętnie poszłabym na Mszę świętą, ale jak zamknę na godzinkę, a ktoś doniesie wujowi, to mnie wyrzuci. A ja muszę pracować, bo zbieram na studia, chesne jest niemałe.

– Przecież haruje pani przez cały tydzień. To nieludzkie, to się nazywa wyzysk. A wuj pewnie wygrzewa się na plaży i liczy zyski, do kościoła chodzi tylko na pasterkę i rezurekcję.

– Tak, jest „uczulony” na zysk! Marnie płaci, żeby zmniejszyć koszty, trzy razy dziennie kontroluje utarg. A co do chodzenia do kościoła, to

stwierdził, że częściej nie musi, bo ten Jezus to straszny leń. Tylko leży – w żłobie albo w grobie. Interesu z Jezusem by nie robił, bo marny byłby to pracownik.

Pani Wiesiu, za wafelki – 3,50 zł. I mam prośbę: czy następnym razem mogłaby pani kupić te wafelki w sobotę albo w poniedziałek? Jeżeli niedzielny utarg byłby niewielki, klientów mało, to może wuj nie otworzyłby sklepu w niedzielę? Pani Wiesiu, to działa w dwie strony...

...w biurze podróży

– Witam! Co pan oferuje na ostatni weekend września? Mamy z żoną jubileusz – dwudziestą rocznicę ślubu i chcę jej zrobić niespodziankę. I wie pan, żeby nie było za drogo, bo jeszcze spłacamy kredyt na mieszkanie. Chyba najlepiej z jakąś grupą i przewodnikiem?

– Proszę, tu jest aktualny wykaz. Proponuję południe Francji, ciepło i słonecznie pomimo jesieni. Albo Norwegię – fiordy jeszcze bez mrozów, a może bliżej – Bawarię, zwiedzanie ciekawych zabytków, załapiecie się państwo na festiwal piwa...

– Chciałbym zobaczyć, jaki jest program na sobotę i niedzielę.

– Proszę uprzejmie, już odpalam komputer. Jak się pan zdecyduje, prześlę wszystkie szczegóły na e-mail, OK?

– Dobrze, spojrzę tylko na razie, bo interesuje mnie, czy w programie jest czas na niedzielną Mszę świętą. I proszę o informację, czy jest w tych miejscach możliwość dotarcia do katolickiego kościoła.

– Nie mam pojęcia, czy tam gdzieś są Msze. Nikt nigdy o to nie pytał! Zwiedzanie jakiegoś kościoła jest w planie chyba we Francji, ale z tego co wiem, nie jest on czynny, bo zamieniono go na muzeum. Ale od wycieczki nie radzę się odłączyć. Program jest bardzo napięty i nie będzie czasu na indywidualne wypadki. Jeszcze państwo zabłądzicie albo was okradną. Lepiej trzymać się razem. A trasy są przepiękne, wszyscy byli bardzo zadowoleni, nie pamiętam żadnych reklamacji.

– A ma pan jakieś propozycje krajowe?

– Mam, oczywiście, ale – proszę spojrzeć na cenniki – są to droższe lub równorzędne wyjazdy. A do Bawarii mamy promocję na koniec września właśnie. Taki wyjazd to czysty zysk – zachwalał pan Patryk (jak wynikało z plakietki przypiętej do eleganckiej koszuli).



– Zaraz skontaktuję się z żoną. Niespodzianka niespodzianką, ale w tej sytuacji muszę ją spytać o zdanie.

Rozmowa była bardzo krótka.

– Prosimy o rezerwację na wyjazd do Sandomierza. Żona spędziła tam dzieciństwo i ładnych parę lat nie była w tej okolicy. Bardzo się ucieszyła, że tam pojedziemy na naszą rocznicę.

– A mówił pan żonie, że stracie sporo kasy, nie wybierając Bawarii?

– To nie jest żaden argument dla mojej żony. Pierwsze co, to zapytała o kościół. Jeżeli nie ma tam szans na Mszę świętą, to oferta odpada.

– No dobrze – pan Patryk był jednak zmartwiony. – Dostanie mi się od szefa, że promuję

Polskę, gdy na wyjazdy zagraniczne są jeszcze wolne miejsca. Niemcy, Francuzi i Norwegowie dają dla biura specjalne bonusy, gdy przyjeżdża komplet turystów.

Zaczął wpisywać do komputera dane klienta.

W tym momencie kliknęła komórka.

– To od żony – oznajmił klient.

– Może zmieniła zdanie? – ucieszył się pan Patryk.

– Oj, stanowczo nie! SMS brzmi: „...to wszystko, co było dla mnie zyskiem, ze względu na Chrystusa uznałem za stratę – list Świętego Pawła Apostoła do Filipian (Flp 3,7–8)”.

– Dziwni ludzie – mruknął po wyjściu klienta pan Patryk. – Bardzo dziwni!

...w metrze

– Cześć Zenek! Co ty tu robisz? Zamieniłeś merca na metro? I to rozpoczyna się na „m”, ale...

– Hej Emilu! Auto stoi w garażu, bo – prawdę mówiąc – bałem się do niego wsiąść.

– No co ty?! „Popłynąłeś” wczoraj zbyt daleko? Nigdy nie miałaś takich zapędów, prawda?

– Nic z tych rzeczy! Po prostu noc mam do tyłu. Najpierw siedzieliśmy z żoną na tarasie i wspominaliśmy dawne dzieje, potem Lidka się

całkiem rozkleiła, musiałem ją ratować – walerianą itp.

– A co ją tak wzruszyło?

– Ja też byłem ugotowany na miękko. Ale chodź, wsiadamy, opowiem ci resztę. Wiesz, wczoraj byliśmy u teściowej. Żona już tak naciskała, że dawno jej nie odwiedzaliśmy, że ja ciągle się wykręcałem pracą. Fakt, że niedziele często mam pracowite. Na wczorajsze popołudnie też miałem zaplanowaną naradę z kierownikami oddziałów. Kończy się miesiąc, trzeba było omówić analizy finansowe, zastanowić się, co zrobić, żeby krzywa zysków pięła się mocno w górę. Ale Lidka tym razem postawiła na swoim. Przypomniała mi czwarte przykazanie, podkreśliła, że trzeba się



troszczyć o rodziców, a przy okazji i trzecie, żeby niedziela była niedzielą. Po drodze marudziłem, że firma na tym straci, że po północy minie termin zgłaszania projektów nowych rozwiązań biznesowych, że nie mała kasa ucieknie nam sprzed nosa. W Lidkę jednak jakby coś wstąpiło. Poganiała mnie, nakrzyzczała, gdy bez uzgodnienia skręciłem do biura, żeby zabrać dokumenty w nadziei, że po powrocie zdołam do północy wysłać zgłoszenia. Nie było mnie z dziesięć minut, a awantura była taka, jak byśmy się mieli spóźnić na samolot do Nowego Jorku. Na moją uwagę, że przecież mama poczeka z obiadem na nas, Lidka tylko warknęła: „Jedź!”. Dom teściowej stoi na uboczu, pod lasem. Gdy dojeżdżaliśmy, widać już było dym z komina, co skwitowałem: „Widzisz, obiad jeszcze niegotowy”. Gdy zajechaliśmy na podwórko, Lidka wyskoczyła z samochodu jak oparzona i w jednym momencie wszystko zrozumiałem! Dom się palił! Złapałem gaśnicę z bagażnika i pobiegłem od tyłu domu, bo dym walił już przez drzwi wejściowe. Moment przede mną Lidka zniknęła w tych kłębach. Przerażony, wołałem to Lidkę, to mamę, i po chwili zobaczyłem, jak Lidka wlecze matkę na taras. Już oboje przenieśliśmy ją na trawnik pod jabłonkę. Jedną ręką

szukałem pulsu, a drugą usiłowałem wyjąć z kieszeni komórkę, żeby dzwonić po pomoc. Ale teściowa nagle się ocknęła i wyszeptała, że na piętrze są dzieci! „Ratujcie je, zostawcie mnie tu” – dodała nieco mocniejszym głosem. Schody na szczęście były jeszcze wolne od ognia. W zadympionym już pokoju na górze stał wózek z niemowlakiem, obok którego kucała przerażona dziewczynka ściskająca w objęciach równie wystraszonego czarnego kotka. Lidka złapała niemowlaka, ja dziewczuszkę z kotem i zbiegliśmy na dół, bo płomienie już pełzały po poręczy. Teściowa, widząc dzieci, odetchnęła z ulgą, a fakt, że są bezpieczne, dodał jej widocznie sił. Zapytałem, czy na górze jest jeszcze ktoś, ale przecząco pokręciła głową. Zadzwoiłem pod 112 po straży pożarną i karetki. Dyspozytor wypytywał o stan osób poszkodowanych i uprzedził, że służby nie dotrą do nas natychmiast z racji usytuowania miejsca zdarzenia. Udzielił kilku rad odnośnie osób, które ucierpiały i zabronił wchodzenia do palącego się domu. Lidka w tym czasie dowiedziała się od matki, że Bronia i Kajtek to dzieci letników, którzy wynajęli u teściowej pokój na poddaszu na parę dni. Pani Jola pojechała na pobliski dworzec po męża, który musiał na dwa dni wyje-



chać do Warszawy. Nie zabrała dzieci, bo smacznie spały „na górze”, zresztą miała wrócić za piętnaście minut... Przyjechali, gdy trwało dogaszanie pogorzeliiska, a lekarz badał dzieci. Radził, żeby zabrać je do szpitala na obserwację, a mamę na SOR do kliniki kardiologicznej. „Gdyby nie państwa przyjazd, byłoby tu bardzo, bardzo źle” – podsumował strażak.

– Zenek, a jak się to wszystko skończyło? I skąd ten pożar? Powiedz prędko, bo ja wysiadam na następnej stacji.

– Pożar wybuchł, bo teściowa zemdląła, prasując sobie bluzkę, którą chciała ubrać na nasz przyjazd, a żelazko spadło na dywan. Dzieci mają być wypisane za dwa dni, a teściowa zostanie

w klinice na dłuższą diagnostykę. Dom, według wstępnego orzeczenia, nadaje się tylko do rozbiorczy, więc po wypisie zabierzemy mamę do siebie. Od razu przytuliliśmy Mruczka, bo Jola z mężem nie mogli go trzymać w hotelu, gdzie zamierzali się zatrzymać do czasu wypisania dzieci ze szpitala. Nie dziwisz się teraz, że po tylu przeżyciach nie spaliśmy prawie tej nocy. Oczywiście po powrocie nie było szans, aby przygotować wspomniane wnioski biznesowe. Ale pal sześć ten stracony zysk! Dzięki naszej obecności nie wydarzyła się tragedia! To jest wspaniały rezultat niedzielnego popołudnia! Przecież życie ludzkie to największy skarb, prawda? I już wiem, dlaczego Lidka tak mnie poganiała w czasie jazdy! Mówi, że miała takie przeczucie i że to Duch Święty ją natchnął do pośpiechu.

– Może to i prawda, słyszałem o takich przypadkach, trzeba Bogu dziękować za taką interwencję! Zrobiliście kawał dobrej roboty!

...w poradni chorób oczu

– Proszę pani, poradnia ortopedyczna jest w budynku H – mówił starszy pan do młodszej kobiety, która z trudem weszła do poczekalni o kulach, z nogą w gipsie nad kolano.

– Wiem, byłam tam przed godziną, widzi pan, mam złamaną prawą nogę, stłuczone żebra, które pieruńsko bolą przy każdym ruchu. Mam też skierowanie na tomografię głowy, bo wyrznęłam nią w krawężnik. Ale tam jest kolejka, bo przywieźli ciężko poszkodowanego w wypadku autobusowym. Przyszłam więc najpierw do okulisty, mam czerwoną opaskę na rękę, więc nie muszę się rejestrować. Kto z państwa jest ostatni?

– Ja – odezwał się jakiś młody człowiek. Pomogę pani, proszę tu usiąść! Potrzymam kule, dobrze? Czy oczy też pani sobie uszkodziła przy tym upadku? Jakoś dziwnie pani patrzy.

– Nie wiem, lekarz to stwierdzi. Ale stłukły mi się okulary, więc bardzo słabo widzę. Zresztą źle widziałam już przed upadkiem i właściwie to było przyczyną tego potknięcia się.

– To pani tak się męczy od urodzenia?

– Nie, kiedyś widziałam bardzo dobrze, ale wzrok popsuł mi się w pracy.

– Ojej, a co to za praca? – wyrwało się siwej, drobnej kobiecie.

– Jestem krawcową. Od wielu lat pracuję w prywatnym zakładzie krawieckim, szyjemy elegancką damską odzież, głównie na eksport. Wiele razy chciałam już stamtąd odejść, ale w pro-



mieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma dla mnie zajęcia. Duże, znane zakłady odzieżowe są dopiero w stolicy województwa. A ja przeniosłam się tutaj, bo opiekuję się swoją mamą, która jest już w podeszłym wieku. Muszę pracować, mama ma niewielką emeryturę, a ja pomagam jeszcze swojej córce, bo ma niepełnosprawnego syna.

– Rozumiem – pokiwał głową starszy pan. – Ale dlaczego pani prawie straciła wzrok w tej pracy? Tyle kobiet pracuje w tym zawodzie, a nie słyszałem, żeby miały takie problemy.

– Mam bardzo wymagającą szefową. Każdy najmniejszy nawet błąd, minimalnie krzywy szew, zbyt szeroka zakładka, aplikacja przyszyta o jeden



stopień niesymetrycznie – skutkuje obciążeniem dniówki, nie mówiąc o premii. Ale wiem, że te niby wybrakowane wyroby, szły do sprzedaży jako pierwszy gatunek! Były tylko pretekstem do zmniejszenia wynagrodzenia, czyli w rezultacie do zwiększenia brudnego zysku. Ja jestem dobrym fachowcem, ale w tych ciemnościach nie sposób uniknąć błędów.

– W ciemnościach? – zdziwił się młody chłopak wciąż trzymający kule.

– Tak, szefowa powtarza nam często: „koszty kradną zyski”!, a oświetlenie generuje koszty, i to niemałe. No więc trzeba je tak nastawić, żeby kosztowało jak najmniej. I tak jest od lat. Nie było

jeszcze mowy o kryzysie energetycznym. Wiem, że oszczędność to dobra rzecz, ale bez przesady!

Kilka razy była kontrola z inspekcji pracy, ale nie było poprawy, pewnie szefowa ich przekupiła. Lekarz na SOR-ze powiedział, że mogłam się zabić przy takim upadku! Teraz pozbieram tu zaświadczenia lekarskie i wystąpię o odszkodowanie. Nie będzie łatwo, ale...

– To szefowa panią zniszczy – zawyrokował siwy pan. – Chyba się pani zwolni?

– Pewnie, ale póki co, wykorzystam zwolnienie z pracy, co i tak będzie bardzo niemiłe widziane. Ale jak będę zarabiać? Boję się nawet myśleć o tym! Może dostanę rentę?

– A dlaczego nie założy pani własnej działalności? – zapytałem się po wysłuchaniu tej historii. – Na pewno z takim doświadczeniem miałyby pani mnóstwo klientek.

– Rozmawiałam o tym z koleżankami wielokrotnie, ale gdy doszło to do szefowej, zaczęła nas szantażować, że wytoczy nam sprawy w sądzie o marnotrawstwo, pijaństwo w pracy, notoryczne spóźnianie się itp. pseudowykroczenia. Ktoś tam mówił, że przecież to nieprawda, że nam nic nie udowodni, ale wiem, że kto ma znajomości i pieniądze, to wszystko załatwi. Smutne to, ale praw-

dziwe. Kiedyś, w przypływie dobrego humoru, opowiedziała nam taką sądową anegdotę, pewnie ku przestrodze. W bufecie w sądzie siedzi przy kawie dwóch znajomych adwokatów. Nagle wpada tam trzeci i zwraca się do jednego z nich: „Pies pana żony pogryzł w parku dziecko mojej klientki. Chcemy sprawę załatwić polubownie i żądamy pięćdziesiąt tysięcy złotych odszkodowania”. Adwokat bez słowa wyjmując smartfon i robi przelew na przesłane mu konto. Gdy tamten zadowolony odchodzi, jego zdumiony towarzysz woła: „Co ty najlepszego zrobiłeś? Przecież nie masz ani żony, ani psa”. „Ja to wiem, i ty to wiesz” – brzmiała odpowiedź – „ale jak sprawa trafi do sądu, to nie wiadomo, co będzie”! Szefowa dla zysku zrobiłaby wszystko! Łącznie ze złamaniem piątego przykazania.

...na korytarzu oddziału położnictwa i ginekologii

– Justyno, doktor Konrad pytał mnie wczoraj, kiedy przyjdiesz pracować do jego gabinetu na Długiej? Gdy powiedziałam, że jeszcze się zastanawiasz, wybuchnął śmiechem, bo myślał, że żartuję. Powiedział tak: „Przecież ona nigdzie nie zarobi więcej niż u mnie. To śmieciowe szpitalne

wynagrodzenie to chyba wystarcza jej najwyżej na lakier do paznokci. Ha, ha, ha! Powiedz jej, Marylo, jak ci u mnie dobrze, prawda? No, ale musisz mieć zmienniczkę, bo pacjentek przybywa z dnia na dzień, a przecież nie mogą czekać na wizytę nie wiadomo jak długo! Rozeszła się już fama, że jestem dobry w te klocki, jest fachowo, dyskretnie i nie tak znów drogo. Kobiety wiedzą, że koszty skomplikowania życia osobistego i zawodowego byłyby z pewnością o wiele większe. Więc płacą, a my na tym zyskujemy. Szkoda byłoby odmówić, pójdą gdzie indziej, a nam kasa



ucieknie. Namów tę Justynę jak najprędzej”. Po wiedziałam doktorowi, że jesteś chętna, ale że nie będziesz asystować przy „tych” zabiegach, bo to jest niezgodne z twoim sumieniem. A doktor odpowiedział, że w takim razie mam szukać kogoś innego, bo przecież usuwanie ciąży to przeszło dziewięćdziesiąt procent naszej działalności. I co ty na to, Justyno? Nie zmienisz zdania? Popracowałybyś trochę, odłożyłybyś na samochód, bo przecież nie będziesz do końca życia jeździć do pracy pociągiem.

– Nie, nie, nie, Marylko! Mam zbijać kapitał na krwi niewinnych dzieci? I ciebie też proszę, daj sobie spokój z taką fuchą, to są brudne, pokrwawione pieniądze! Słyszałam kiedyś takie zdanie: „Bóg, dając człowiekowi wolność, zaryzykował w pewnym sensie”. Źle wybrałaś, Marylko. Źle rozumiesz wolność! Nie można spijać zysków – krwią. Nie można ich gromadzić za wszelką cenę! Będę się modliła, żebyś zmieniła zdanie!

– Ja też będę się modliła o to, pani Marylko! – odezwała się cicho pacjentka, która słyszała tę rozmowę. – Ja straciłam dziecko przez poronienie. To wielki ból! Serce mi płacze. Wszystko bym dała, żeby udało się je uratować. Ale stało się.



I strach pomyśleć, że są ludzie, którzy nie chcą przyjąć poczętego dziecka! A inni zbijają na tym kasę! Straszny proceder! Straszny!

...u fryzjera

– Pani Elu! Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale zatrzymał mnie ważny telefon. Musiałam interweniować w redakcji „Dla Ciebie”, bo...

– Nie słyszałam, pani Joanno, o takim wydawnictwie. Pani je czytuje?



– No, ja to sporadycznie, bo prenumeruję je dla córki. Ten magazyn jest kierowany do 12–15-letnich dziewczynek.

– I co tam takiego napisano, że jest pani wzburzona?

– Pani Elu! Przypadkowo spojrzałam na otwartą stronę, bo Kaja zostawiła gazetę na stole w kuchni. A tam, obok reklamy toniku na trądzik młodzieńczy i soków o różnych smakach, zobaczyłam zdjęcie jakiejś prawie nagiej dziewczyny. Ale nie była to reklama balsamu do ciała, tylko... gry komputerowej, a dokładniej fragment instrukcji dla użytkownika, a raczej użytkowniczki, czyli kilkunastoletniej dziewczynki. Było to jakoś tak: „...żona wraca do domu i w sypialni zastaje męża z dwiema paniami.

Do wyboru są różne drogi (reakcje) zszokowanej kobiety: płacz, krzyk, uciekaj i uwaga – dołącz”! Ten ostatni wariant był reklamowany jako najbardziej interesujący i edukacyjny. Był też najwyżej punktowany. O Boże! Moja Kaja ma edukować się seksualnie w takim „towarzystwie”?

Zadzwoiłam do redakcji i rozmawiałam z panią redaktor naczelną. Grzecznie zapytałam, czy może zaszła tu pomyłka, bo wydawnictwo wydaje kilka magazynów, również dla dorosłych. Ale



ja jestem zbulwersowana wspomnianą reklamą w „Dla Ciebie”. Pani redaktor zdziwionym, ale i niecierpliwym głosem odpowiedziała, że nie rozumie, o co mi chodzi. Reklamodawca opłacił przecież kilkanaście centymetrów kwadratowych na stronie pięciu czasopism, również na stronie „Dla Ciebie”, więc wszystko jest w porządku. Poza tym na ostatniej stronie każdego egzemplarza jest w stopce redakcyjnej informacja, że redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam. Udało mi się jeszcze powiedzieć, że jest przecież kobietą, a może i matką, i..., ale przerwała mi stanowczo: „Proszę pani, ogłoszenia to czysty zysk dla redakcji. Z tego żyjemy!”. I odłożyła słuchawkę...

...w teatralnych kuluarach

– Zdżichu! Idziemy do domu. Nie chcę już oglądać drugiego aktu! To okropne i obrzydliwe, co się tu dzieje. Byliśmy przecież na wszystkich premierach. Tamte przedstawienia wspominał bardzo dobrze. Były wyreżyserowane profesjonalnie, a ambitne scenariusze dawały dużo do myślenia o problemach współczesnego świata. Teraz więc kupiłam bilety w ciemno, ale przyznaję, że z wielkim trudem. W przedsprzedaży już nie było, nawet na dostawki. Poszłam więc wczoraj do kasy w teatrze i dostałam dwa bilety po znajomości. Ktoś je zwrócił, bo musiał z rodziną nagle wyjechać. Dziwiłam się, że jest takie zainteresowanie, bo zwykle było sporo wolnych miejsc, pamiętasz? I wiesz co? – bilety znacznie podrożały.

– Rzeczywiście, bywało pusto, a dziś sala pęka w szwach. Domyślam się nawet dlaczego.

– No to mów, bo ja wychodzę. Dlatego, że na pierwszym planie jest erotyzm w możliwie najgorszym wydaniu? Te obsceniczne wątki są przecież nudne, nic nie wnoszą do głównego problemu poruszanego w sztuce – do pięknej, małżeńskiej miłości, która rozkwita jak kwiat w odpowiednich, sprzyjających warunkach.



– Kochanie! Dla ciebie są to nudne i obrzydliwe „wstawki”, ale dla innych to *clou* programu! Widzisz, jakie oczy szeroko otwarte i wypieki na twarzy ma większość widzów? Jak są zaaferowani i podnieceni? Niektórzy uwielbiają takie emocje. Rozejrzyj się, jak niecierpliwie przestępują z nogi na nogę, oblizują wargi. Spójrz tam...

– Zdżichu! Tam stoi dyrektor teatru, zobacz, rozmawia chyba z jakimś dziennikarzem. Idę tam i mu wygarnę, zapytam, dlaczego teatr schodzi na psy? – Panie dyrektorze – przepraszam, ale o co tu chodzi? Dlaczego marnuje pan dobre imię tego teatru?



– Szanowna pani! Jest takie znane powiedzenie: jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o... pieniądze. Słyszała to pani? No właśnie – teatr stoi na progu bankructwa. Od jakiegoś czasu nie przynosi zysku. Współwłaściciele chcą wycofać swoje udziały, zaprzestać finansowania, bo otrzymują zbyt małe tantiemy. Na zebraniu zgodzili się dać mi jeszcze jedną szansę. Obiecałem, że wyreżyseruję „Różę i ciernie” w bardzo nowatorski sposób i z pewnością widzowie będą zachwyceni. Prognozy są bardzo obiecujące. Na dziesięć najbliższych przedstawień bilety zostały wykupione w mig.

– Moja noga już tu nie postanie. Jak pan mógł..., jak pan mógł powiększać zyski w taki perfidny sposób? Widać, że uznaje pan zasadę: zysk za każdą cenę! Tak?

– No tak, koszty rosną, przed nami zima, ogrzewanie..., trzeba też utrzymać czystość w pomieszczeniach teatru i wokół budynku.

– A nie pomyślał pan, że taką sztuką brudzi pan nie budynek teatru, ale ludzkie serca i sumienia?

...przy bankomacie

– Witaj Felek! Co, zabrakło ci kasy na pół litra? W naszym monopolu nie można płacić kartą?

– Cześć Franek! Oczywiście, można, ale coś im się zepsuło i wystawili kartkę: „Płatność tylko gotówką”.

– A na Majowej, w „Żabce”?



– Nie będę latał taki kawał drogi. Wyskoczyłem tylko na chwilę z roboty.

– No pewnie, trochę tam daleko, a ty masz warsztat o rzut beretem stąd. A jak się już widzimy, to powiedz, jak ci idzie interes? Można wytrzymać? Klienci walą drzwiami i oknami, jak to się mówi?

– Z klientami to różnie bywa. Ten zamówi regał, ten stoliczek, tamten deski na taras, inny przyniesie do naprawy karmnik dla ptaków albo konia na biegunach. Generalnie sama drobnica. Mam też umowę z tartakiem i ta obróbka drewna to większa robota. Przez rok ledwie wiązałem koniec z końcem. Ale teraz zysk mam super!

– Co, trafili się jacyś nadziani klienci, którzy zamówili u ciebie wille z drewna à la w Zakopanem?

– Nie żartuj! Willi bym przecież nie dał rady zrobić. Ale znalazłem sposób, aby ciąć koszty! A jak koszty mniejsze, to i zysk większy – to taka prosta zasada ekonomii, wiesz?

– To co, robisz cieńsze deski, wbijasz krótsze gwoździe?

– Oj Franek, nie znasz się na biznesie! Posłuchaj, ale nie wygadaj, bo jakby co, to...

– No mów, nie wygamam! Gwarantuję, że nawet po kielichu będę milczał jak grób.

– Mój szwagier jest elektrykiem i podpiął warsztat do linii energetycznej poza licznikiem. A właśnie warsztat zżera najwięcej prądu. Licznik wylicza tylko biuro i moje mieszkanie. Tak całkiem to już nie chciałem kraść, bo to byłoby podejrzane, prawda? A energia z narzędzi – piły, szlifierki, elektrycznego hebla, leci na licznik budowy osiedla mieszkaniowego, która potrwa jeszcze ze trzy lata. Widziałem makietę – to dwadzieścia sporych szeregowców plus infrastruktura. Oni zużywają masę prądu, to się z pewnością nie zorientują, że im zobowiązania podskoczyły. Betoniarce chodzą tam na okrągło.



– A jak do warsztatu przyjdzie kontrola, to co zrobisz?

– Nie wydaje mi się to możliwe. Ale jakby co, to pod ręką mam mechaniczne narzędzia – ręczny hebel, kilka pił różnej wielkości. Powiem, że te elektryczne często się psują, są stare i sporadycznie tylko z nich korzystam. No trudno, kto nie ryzykuje, ten... A póki co zyski znacznie rosną, konto mam już całkiem przyzwoite.

– Ale to nie jest uczciwe, Felek. Wiesz o tym, prawda?

– No wiem, ale czy ja kogoś krzywdzę? To „państwowy” prąd, czyli nasz wspólny, no nie? Jakby tobie zapachniała taka kasa, to byś pewnie też skorzystał, co? Podeślę ci szwagra w którąś sobotę, to się rozejrzy i zobaczy, czy twój warsztat też można gdzieś podłączyć. Przy lakierowaniu aut pewnie też zużywasz masę prądu. Postawisz mi i jemu kielicha, i będziemy kwita, dobra?

...w tramwaju

– Super, super! Ale mam wyniki! Słuchaj, Benek, zysk mi podskoczył o 80%. I to przez tydzień. Niesamowite!

– Andrzej! Zostaw tego smartfona! Tramwaj tak trzęsie, że ty podskoczysz na 100% pod sufit,



jak nie będziesz się mocno trzymał. Tu jest remont torów i puścili chyba jakiś zdezelowany tabor.

– Faktycznie, trzęsie nieludzko. Ale musiałem sprawdzić, w jakiej kondycji jest moja firma. Już na ostatnim wykładzie pikały mi SMS-y, ale Wojciechowski cały czas patrzył w moją stronę. Pamiętał chyba, że ostatnio podpadłem, bo pod ławką rozmawiałem z księgową. To teraz wolałem nie ryzykować, sesja przecież niedługo!

– No to słyszę, że masz dobre, finansowe wieści, tak? Twoja aplikacja na smartfony sprzedaje się jak ciepłe bułeczki? Dobry kierunek obrałeś dla swojej firmy! Teraz każdy ma smartfona, prawda?

– Otóż okazuje się, że nie każdy. Może, zgoda, każdy student, tak jak my, ale jest jeszcze spora grupa ludzi, którzy z różnych powodów nie używają smartfonów. Oglądałem w Necie różne statystyki na ten temat. A ci, co je mają, są już przesyćeni różnymi aplikacjami. Jeden gościu nawet mi powiedział, że się już w nich pogubił, większości nie używa, a nowych nie zamierza instalować.

– No, Andrzej, to gwóźdź do trumny dla twojego biznesu, co?

– Benek, też tak myślałem i nawet chciałem zawiesić działalność, ale nadarzyła się okazja i teraz mam pełne ręce roboty. Pierwsze owoce już widać. Mówiłem ci przecież, że zysk się zwiększył.

– Niech zgadnę, wysyłasz aplikacje Murzy-nom? Tam rynek jest jeszcze chłonny.

– Nic podobnego! Mam na tapecie jeszcze pięć nowości! Superhity, mówię ci! Ustawi się kolejka chętnych. Jeszcze muszę je trochę podrasować i uruchomić reklamy. Jeżeli znajdą chętnych, tak jak ta pilotażowa, to...

– Kiedy chwyciła cię taka wena, że trafiłeś w niszę na rynku?

– Wena to za dużo powiedziane. Ale nowe pomysły znalazłem... w domu. Wiesz, mój stary uczy informatyki w liceum, prowadzi też kółko

informatyczne. Opowiadał, że ma tam chyba samych przyszłych noblistów! Takie młodzi mają głowy, że hej. W marcu robili projekty aplikacji na smartfona na konkurs ogłoszony przez ministerstwo. Ojciec mówił, że bardzo się przykładają, bo laureaci dostaną wysokie nagrody pieniężne i stypendia naukowe. Komisja będzie oceniać ich prace na początku czerwca i na zakończenie roku szkolnego ogłosi listę nagrodzonych. Widzisz więc, że muszę się spieszyć, żeby najpóźniej za tydzień puścić aplikacje w świat.

– Nie widzę związku z...

– No coś ty taki niedomyślny!? Przecież wystarczyła chwila, gdy ojciec poszedł zrobić sobie



kawę, ja przegrałem te projekty na pendrive'a. Było ich kilkanaście, wybrałem sześć, które wydawały mi się najbardziej innowacyjne. Jeden z nich już się dobrze sprzedaje, w pozostałych zmieniam trochę szczegółów, coś tam dopisuję i...

– Andrzej, ukradłeś dzieciakom projekty? Przecież jak te aplikacje trafią na rynek, to ich autorzy będą posądzeni o oszustwo, a twój ojciec może być dyscyplinarnie zwolniony ze szkoły! Ty też będziesz przecież podejrzany! Nie pomyślałeś o tym? A nagrody? A stypendia?

– Och! Młodym nic nie będzie, jeszcze się w życiu dorobią. A z tą kradzieżą przesadzasz! Przecież im nie zabrałem, bo dalej mają te projekty w swoich komputerach. Stary też je ma! Więc w czym problem? Zresztą mówiłem, że co nieco zmieniłem w tych projektach, więc nikt się pewnie nie zorientuje. A ja muszę mieć coraz więcej kasy, bo Roksana ma duże wymagania. Już kręciła nosem, że w lutym byliśmy tylko na Majorce. Latem chciałaby objechać całą Kanadę wzdłuż i wszerz! Groziła, że jeżeli tego nie zorganizuję, to pojedzie z Albertem, a wtedy z nami koniec. Mam się tak skompromitować?

...w kawiarni

– Wiola! Pięknie wyglądasz! Ta kiecka, jak zawsze, z Paryża? A buty? Gdzie dostałaś takie cudo? A może to tajemnica?

– Alina! Nie gadaj głupot. Przecież jesteś moją przyjaciółką. Buty kupiłam w Necie, ktoś wystawił na licytację. Pochodzą z Maroka. Kosztowały majątek, ale pasują i są wygodne – to najważniejsze. Nie będę się katować nawet najpiękniejszymi butami, które są zbyt ciasne.

– Słusznie. Życie jest dosyć ciężkie, żeby jeszcze sobie dokładać problemów, prawda?

– Oj, problemów mi ostatnio nie brakowało, ale na szczęście mam to już za sobą. Teraz odpoczywam i konsumuję nadzwyczajne zyski!

– Wiola, to pochwal się, pochwal, jak idą interesy? Myślę, że super, bo jak pytałam w kiosku o twoje wydawnictwa, a konkretnie o „Wiejskie ploteczki”, to powiedzieli, że nie ma już od tygodnia. Magazyn ten, jak i pozostałe, rozszedł się w kilkadziesiąt minut. Masz może dla mnie ostatni numer?

– Mam, mam, przecież już mi to mówiłaś i prosiłaś o egzemplarz.

– No to pokaż, co tam jest ciekawego.

– Alina! To wyłącznie moja krwawica! Trzech redaktorów zwolniłam, bo nie potrafili znaleźć

właściwych ludzi, opowiedzieć o pewnych zdarzeniach. Twierdzili, że nic ciekawego się nie dzieje! Może i tak bywa, więc szczęściu trzeba pomóc. Od czego jest głowa i wyobraźnia? Dobrze jest czasem napisać coś pikantnego, jakąś sensację, najlepiej dotyczącą znanego polityka, piosenkarza, aktora. Czytelnicy uwielbiają takie historie i nakład rozchodzi się błyskawicznie. No to usiadłam i rozpoczęłam radosną twórczość! Energii dodawał mi fakt, że trzy pensje byłych redaktorów zjedną z kosztów i powiększą zysk!

O patrz! Tu obsmarowałam posła z sejmu, tu wojewodę, a ten tekst, okraszony zdjęciami z pla-



ży nudystów, pokazuje mroczne strony solisty znanego zespołu techno. Mocne, prawda? Nie dziwisz się już, że numeru nie ma w sprzedaży? Będę musiała znacznie zwiększyć nakład!

– Wiola! Ale to jest kryminał, to są oszczerstwa, fałszywe oskarżenia! Oni cię pozwą do sądu, nie boisz się?

– E, nie będzie tak źle. W następnym numerze dam sprostowanie, że to pomyłka, bo zdjęcia w bazie danych komputera się pomieszały. Zwróc uwagę, że nigdzie nie widać dokładnie twarzy bohatera tego artykułu. A fakty dotyczące polityków przekazali mi ci, którzy są wobec nich w opozycji. Przepraszę czytelników, że nie sprawdziłam tych wyspanych z palca informacji. Oczywiście to wszystko będzie wydrukowane najmniejszą możliwie czcionką, w miejscach, które są mało widoczne i czytane.

– Ale przecież krzywdzisz tych ludzi! Nie można tak postępować!

– Przesadzasz! Życie toczy się tak szybko, za tydzień będzie nowy numer, a o poprzednich tekstach ludzie zapomną. Gwarantuję ci! Tak to już jest! Zysk wyznacza drogę prowadzenia biznesu. To jest złota zasada!

– Wiola, ale czy zysk za wszelką cenę?

...w ogródku jordanowskim

– Mogę się przysiąść? Bo widzę, że ławki są zajęte.

– Ależ bardzo proszę. Dzieciaki latają, miło będzie zamienić z panią kilka słów. Zanosi się na upał, przyszedliśmy dlatego wcześniej niż zwykle i udało mi się usiąść tu, pod kasztanem, w cieniu. Widzi pani, jak pięknie kwitnie? Matury tuż, tuż. Aż dziwne, że temperatura tak rośnie już na początku maja, prawda? A pani pociechy też tu gdzieś biegają? Bo mój Bartek uwielbia te drabinki i liny. Trochę się denerwuję, jak wspina się za wysoko. Muszę go pilnować, żeby nie przesadzał! A Anielka praktycznie nie schodzi z huśtawki. Ja też bardzo chętnie się huśtałam. A pani? Ja tak gadam i gadam, a pani coś posmutniała? W ogóle jakoś źle pani wygląda, mogę poczęstować panią ciastem z rabarbarem. Wczoraj upiekłam, bo dzieciaki i mąż je uwielbiają. Proszę skosztować...

– Bardzo dziękuję! Placek jest pyszny. Ale czy ja tak marnie wyglądam, że aż to pani spostrzegła? Sądziłam, że udaje mi się maskować mój stan.

– Ojej, to pani choruje? To coś poważnego? No, pewnie tak, bo zwykle przeziębienie nie od-



bija się tak w oczach, a pani ma bardzo smutne oczy! Gdzieś czytałam, że oczy są zwierciadłem duszy. Coś w tym jest, prawda?

– Z pewnością tak! Cała jestem smutna!

– To może pani mi chce o tym opowiedzieć? Może coś pomogę na pani smutki?

– Tu nikt już nie może pomóc! Sama jestem sobie winna i niczego się już nie cofnie!

– Niech pani tak nie mówi! Dopóki się żyje, to można się zmienić, naprawić to, co się zepsuło...

– Chyba jednak nie! No to proszę posłuchać, powiem w paru słowach, w czym problem. Otóż ja nie mogę mieć dzieci! Byłam u wielu lekarzy, wszyscy to samo mówili. A wie pani, dlaczego? Bo



pięć razy zabijałam dzieci, które poczęłam. I dlatego jestem teraz bezpłodna. To straszne, prawda? Dopiero teraz to widzę. Bardzo cierpię, jak widzę inne dzieci, a jednak muszę tu przychodzić i patrzeć na nie, myśleć, że moje też przecież mogłoby teraz siedzieć w piaskownicy, biegać pod drzewami, wspinać się razem z Bartkiem po linie czy huśtać się z Anielką... Ale...

– No właśnie, dlaczego? Dlaczego pani to robiła?

– Najprościej mówiąc – dla zysku! To było dobrych kilka lat temu. Pracowałam wtedy w pewnej firmie, w której dyrektor był znanym kobieciarzem. Jak mówiono, nie przepuścił żadnej



dziewczynie. A ja byłam tą pierwszą i przez długi czas nie zamieniał mnie na inną. Po niemal każdym spotkaniu (czytaj: nocy) dostawałam pismo z działu płac – a to o podwyżce, a to o premii specjalnej, premii uznaniowej, czy o przepracowaniu nadgodzin. I tylko to ostatnie można było uznać za prawdę!

Zapyta pani, dlaczego się nie zabezpieczałam przed niechcianą ciążą? Otóż były wyraźne lekarskie przeciwwskazania co do antykoncepcji. A kalendarzyk małżeński nie wchodził tu w grę, bo byłam zapraszana do szefa (czytaj: wzywana), gdy miał na mnie ochotę! On nie używał żadnych środków, bo był pewien, że ja to robię. Gdy po-

częło się pierwsze dziecko z tego związku, wiedziałam, że to jest koniec moich dodatkowych dochodów. A przecież jeszcze planowałam takie czy inne wydatki... I tak już poszło... Dwa lata temu poznałam wspaniałego człowieka – Mariusza – i po ślubie przyjechałam tu z drugiego końca Polski. Zmieniłam nazwisko, numer komórki, adres e-mail. Mąż nic nie wie o mojej niecnej przeszłości. Czeka z utęsknieniem na dziecko. A tu nic! Co ja najlepszego zrobiłam? Dla zysku zmarnowałam życie dzieci, swoje i Mariusza. O Boże, co będzie dalej?

– Niech pani nie płacze! Co ja mogę pani poradzić? Musi pani odkłamać wasze małżeństwo! I uszczęśliwić chociaż jedno dziecko! Tyle dzieci czeka na adopcję! Może w ten sposób uspokoi pani swoje sumienie? Zadośćuczyni za popełnione zło? No i przebaczy pani sobie, a jeżeli Bóg był, czy jest jeszcze, w pani życiu ważny – to trzeba się z Nim pojednać! On jest miłosierny... Odzyska pani pokój serca, proszę mi uwierzyć!

...w kolejce do wyciągu narciarskiego na Szrenicę

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Boguś, to ty? Kopę lat cię nie widziałem! Co ty tu robisz?

– O, Tomek! Dziwne pytanie! Jak widać, w tej chwili nic nie robię. Tak jak cały ten tłumek, stoję w kolejce, żeby wjechać na górę. Przecież nie będę się wspinał! Moja Łucja siedzi na górze od paru godzin, bo stwierdziła, że jak rano wystąpiła swoje, to musi to wykorzystać na maksa! Lubi patrzeć na wszystkich z góry, ha, ha, ha.

– A kto to jest Łucja? Twoja córka?

– Ależ nie, to moja aktualna żona. Ty pewnie pamiętasz jeszcze, jak byłem z Ulką, co? Jak to się mówi, wymieniłem ją na nowszy model, jednak nie chodziło tylko o wygląd, ale głównie o charakter.

– No tak, niezgodność charakterów to częsty powód rozwodów. Ale Ulka nie wyglądała na jakąś żonę. O co wam poszło? Możesz powiedzieć?

– Powiem ci, powiem po starej znajomości. Żeby cię ustrzec. Ulka stawiała w poprzek mojej kariery jako biznesmena! Nie mogła zrozumieć, że „pańskie oko konia tuczy”! Wciąż mi marudziła, że nie ma mnie w domu, a nawet gdy jestem, to tylko ciałem, a nie duchem. Bo bez przerwy



zajmuję się firmą. Smartfona nie wypuszczam z jednej ręki, drugą piszę na laptopie... Za często wyjeżdżam, po nocach siedzę na bankietach z jakimiś prezesami, dyrektorami... Syna prawie nie widzę, bo jak wracam, to już śpi. Ale jakie mam wyniki ekonomiczne! Jakie zyski!

Pieniędzy przecież rodzinie nie żałuję! Ale Ulka mówiła, że to przesada z mojej strony z tym gromadzeniem pieniędzy! Co z tego, że są, jeśli nie może ich wydawać ze mną. Koleżanki zazdrościły jej kasy. Kiedyś słyszałem, jak jedna z nich namawiała Ulkę na wyjazd do Paryża, to zobaczą ekskluzywne galerie z ciuchami. Ulka tylko mruknęła, że ma ładne sukienki, ale i tak nie ma gdzie w nich wyjść, bo mąż kocha tylko firmę, a z nią nigdzie się nie pokazuje. Po chwili dodała: „Byliśmy razem w filharmonii, ale cały koncert przesiedział w holu, bo na Teamsie zwołali jakąś ważną naradę”. No i skończyło się rozwodem... Żal mi trochę syna, ale płacę spore alimenty, więc krzywdy nie ma, prawda? Zresztą niedługo dorosnie i kasa przestanie wypływać.

– Oj, Boguś, co ty wygadujesz? Jak ty możesz tak myśleć?

– No co? Takie jest życie! Jak się chce do czegoś dojść, to po trupach, ale do celu! Taka jest moja

dewiza! Łucja jest młoda, rozumie, że lepiej mieć niż nie mieć. Robi, co chce, pewnie nawet mnie zdradza, ale jak jest mi potrzebna, to wie, że ma być tylko dla mnie – i dobrze jest! Żyjemy w wolnym związku... A ty, Tomek, wciąż jesteś z tą samą Irminą?

– Tak, bardzo się kochamy i z przerażeniem słucham, że straciłeś małżeństwo i rodzinę przez chciwość! Bo pieniądze, zyski z firmy postawiłeś wyżej niż miłość... Z całą perfidią zapłaciłeś taką cenę za szczęście. Wiesz, te twoje zyski to jak judaszowe trzydzieści srebrników...

...w toalecie w urzędzie gminy

– O, dobrze, że jesteście, tu możemy przez chwilę spokojnie porozmawiać. Jest taka sprawa: 24 kwietnia o godzinie 14.00 ma być nadzwyczajne posiedzenie rady gminy. Sekretarka to moja dobra znajoma, dała mi o tym znać przed wysłaniem e-maili do radnych.

– No, ale co my mamy do tego? Nie jesteśmy przecież w radzie!

– Tak, ale każdy z nas zna pewnie przynajmniej jednego lub dwóch radnych. Chodzi o to, żeby przekonać ich, aby głosowali przeciwko wprowadzeniu do budżetu gminy budowy nowej kanali-

zacji na głównej ulicy, i oczyszczalni ścieków. Podobno wójt załatwił jakieś korzystne innowacyjne rozwiązanie, proste i szybkie w instalacji, ale bardzo kosztowne.

– To chyba dobrze, że wójt dba o środowisko naturalne?

– Oj, dobrze, niedobrze. Stara kanaliza i oczyszczalnia jeszcze jakoś ziپیą, po co wydawać duże pieniądze, jeżeli można je inaczej rozdysponować? Księgowa, też moja dobra znajoma, nawet powiedziałbym – bardzo dobra, ma już pewną koncepcję i obiecała, że i nam skapnie okrągła sumka z tej puli.

– Nigdy nie mówiłeś, że masz takie znajomości w urzędzie.

– Nie są to sprawy do nagłaśniania, pożądana jest tu daleko idąca dyskrecja. Obie panie są klientkami mojej żony, która, jak pewnie wiecie, prowadzi zakład fryzjersko-kosmetyczny na parterze naszej willi. Żona ostatnimi czasy skarżyła się, że lawinowo spadają jej zyski, bo ubywa klientów. Wybierają konkurencyjny zakład, do którego jest lepszy dojazd i spory parking w pobliżu. A do nas prowadzi droga w okropnym stanie. Właściwie jest to wąska polna ścieżka, pełna dziur i kałuż. A budowa tej drogi znowu została odłożona



na termin „nigdy”, bo napatoczyła się ta oczyszczalnia. I...

– Wszystko jasne! Mamy zwalczać oczyszczalnię na rzecz drogi do waszego domu.

– No właśnie. Obok nas buduje się mój syn, który też chce założyć interes, ale bez dojazdu i parkingu nie ma co rozpoczynać działalności.

– Słuchajcie, ale oczyszczalnia służyłaby nam wszystkim, a ta droga tylko niektórym – odezwał się ktoś nieśmiało, ale zaraz został zakrzyczany.

– Tu chodzi o zyski! Biznes musi je generować! A jakie zyski będą z tej oczyszczalni? Zresztą, kończmy już, bo smród w tym kiblu jest nie do zniesienia. Chyba kanaliza szwankuje (!).

– Taki fetor jest też wokół obecnej oczyszczalni, zwłaszcza jak powieje z zachodu. Mieszkam niedaleko, to wiem – pożalił się znów ten nieśmiały głos.

– No to zapomnij o tej rozmowie! Sami damy radę przekabacić członków rady, prawda? No, znikamy, bo przed chwilą wydawało mi się, że ktoś pokaśluje w tej ostatniej kabinie, koło okna. Pewnie jakiś petent naszego urzędu. I jeszcze jedno – powiedzcie swoim żonom i córkom, że w naszym zakładzie mają rabat 60% na różne usługi! A wy macie strzyżenie gratis!

...w barku na stacji benzynowej

– Ach, tu się schowaliśmy, k...! Co to, jakiś strajk powszechny? Widzicie, która godzina? Właśnie przyplłynął prom i tylko patrzeć, jak zacznie się ruch. A szanowne panie piją sobie herbatkę z cytrynką, a może jeszcze z wkładką? I zagryzają hamburgerem! No ładnie! Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziecie tak wyglądać, że nikt na was nawet nie spojrzy.

– Ależ szefie, przecież jakaś przerwa nam się należy. Od południa tkwimy na tym parkingu i przy zjeździe z autostrady. Klientów było niewiele, deszcz ze śniegiem zacina...

– Ty, Nadzia, nie bądź taka wygadana! Dawajcie utarg i do roboty! Od siedzenia tutaj zysków nie przybędzie. No, zbierajcie się, ale już! I pamiętajcie, że zamówiłem u was nowy towar! Przed samymi świętami będzie jeszcze większy ruch i zapotrzebowanie na wasze usługi wzrośnie! Delfina – rozmawiałaś już ze swoją siostrą bliźniaczką? Zachęciłaś ją? Kiedy stawi się do pracy? A ty, Adela? Mówiłaś coś, że sąsiadka jest bezrobotna, miała się pokazać, czy się nada. Blanka, a ty masz kogoś na oku? Bo jak nie, to zabiorę ci parę dniówek. No, ruchy, ruchy! A co to za futro? Natasza, ściągnij je natychmiast! Tak chcesz wabić klientów? Nogi masz pokazywać, faceci to lubią, mam ci przypominać abecadło waszej roboty?

– Ale ona ma chyba gorączkę. Jak zmarznie, to...

– Nadia, już ci mówiłem, że masz przestać gadać po próżnicy. I nie wkładaj tej futrzanej czapy, którą chowasz za siebie. Ja wszystko widzę! Masz potrząsać włosami, a nie udawać niedźwiedzia... Jak którejs zimno, to niech idzie pracować w piekarni, tam jest ciepło, ha, ha, ha! Już was nie ma!

– Proszę pana – odezwała się zszokowana tą sceną kobieta siedząca z kubkiem kawy w ręce –



jak pan może tak traktować te kobiety? Wiem, co za usługi świadczą, a pan pewnie zbija na tym niezłą kasę! Ile one z tego mają? Dlaczego muszą się tym trudzić, tego nie wiem, ale...

– Nie pani sprawa! Jest klient, jest zarobek! Firma jak każda inna. Działa tu też podstawowe prawo ekonomii – zysk to różnica między przychodem a kosztem. Koszty poniosłem – kupiłem im seksowne ciuchy, opłaciłem fryzjera i kosmetyczkę, to musi się zwrócić i przynosić kasę! Czyli przychód! A że w taki sposób? Cóż, jest to najstarszy zawód świata!

Beksiak J., *Ekonomia*, Wyd. Księgarnia Beck, Warszawa 2019.

Białas M., *Problemy z ustalaniem wyniku finansowego w rachunku zysków i strat*, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2021.

Branden N., *Jak dobrze być sobą. O poczuciu własnej wartości*, GWP, Gdańsk 2006.

Canfield J., *Balsam dla duszy pracującej*, DW Rebis, Poznań 1998.

Chmielecki A., *Rzeczy i wartości. Humanistyczne podstawy edukacji ekonomicznej*, PWN, Warszawa 1999.

Czerny J., *Aksjologiczne podstawy ekonomii i biznesu*, Wyd. WSEiA, Bytom 2018.

Czerny J., Rzepka K., *O humanizację myśli ekonomicznej*, „Nierówności Społeczne a Wzrost Gospodarczy”, nr 52 (4/2017).

Das Neves J.C., *Ekonomia z Bogiem*, WAM, Kraków 2003.

Dębska H., Warczok T., *Kapitały, inwestycje, zyski. Ekonomia praktyk naukowych w polskim polu filozofii prawa*, Wyd. Uniwersytet Warszawski, Warszawa 2021.

Ekman P., *Kłamstwo i jego wykrywanie w biznesie, polityce, małżeństwie*, PWN, Warszawa 1997.

Ekonomia inspirowana miłością, praca zbiorowa pod red. J. Królikowskiego, Wyd. Biblos, Tarnów 2019.

Emerling I., *Rachunek zysków i strat w świetle rozwiązań międzynarodowych*, Studia Ekonomiczne, Warszawa 2014.

Galata S., *Biznes w przestrzeni etycznej. Motywy, metody, konsekwencje*, Difin, Warszawa 2007.

Garczyński S., *O radości*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1983.

Głodek J., *Nie jestem stworzony do bezsensu*, „List” 2013.

Granatowski J., *Bóg każdemu daje wędkę*, „Szum z Nieba” 2019.

Griffin E., *Język przyjaźni*, Wyd. Rodzinny Krąg, Warszawa 1994.

Hayes S.C., *Umysł wyzwolony*, GWP, Gdańsk 2020.

Hazlitt H., *Ekonomia w jednej lekcji*, wyd. Instytut Ludwiga von Misesa, Wrocław 2013.

Hudzik M., *Jak pracować, żeby nie zwariować*, „List” 2013.

Illg J., Illg T., *Wielka Księga Mądrości*, Wyd. KDK–Arkadia, Chorzów 2013.

Jaki S.L. OSB, *Zbawca nauki*, Wyd. W drodze, Poznań 1994.

Joule R.V., Beauvois J.L., *Gra w manipulacje. Wywieranie wpływu dla uczciwych*, GWP, Gdańsk 2006.

Jurek M., Rybacki R., *Model homo oeconomicus i jego dostosowanie do współczesnych uwarunkowań*, „Współczesne teorie ekonomiczne”, Ratajczak M. (red.), Wyd. Uniwersytetu Ekonomicznego, Poznań 2012.

Kisilowska M., *Kultura informacji*, Wyd. SBP, Warszawa 2016.

Kofman F., *Świadomy biznes. Jak budować wartość poprzez wartości*, Wyd. Galaktyka, Łódź 2019.

Kozielecki J., *Koncepcje psychologiczne człowieka*, PWN, Warszawa 1984.

Lefevre P., *Jak zmienić swe życie?*, Wyd. W drodze, Poznań 1994.

Lewartowska-Zychowicz M., *Obywatel na manowcach, czyli o tym, jak homo politicus przekształcił się w homo oeconomicus*, Wyd. Uniwersytet Gdański, Gdańsk 2019.

Liedel K., Piasecka P., Aleksandrowicz T.R., *Analiza informacji. Teoria i praktyka*, Difin, Warszawa 2017.

Masłowska D., Masłowski W., *Wielka Księga Myśli Polskiej. Aforyzmy, przysłowia, sentencje*, Wyd. KDC, Warszawa 2005.

McGinnis A.L., *Potęga optymizmu*, Wyd. „Exter”, Warszawa 1993.

McGinnis A.L., *Sztuka motywacji, czyli jak wydobyć z ludzi to, co w nich najlepsze*, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 1992.

McGinnis A.L., *Sztuka przyjaźni, czyli jak zbliżyć się do ludzi, na których nam zależy*, Oficyna Wydawnicza „Quo Vadis”, Warszawa 1991.

McGinnis A.L., *Sztuka życia, czyli jak osiągnąć sukces w pracy zawodowej i szczęście w życiu rodzinnym*, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 1998.

Minus P.M., *Etyka w biznesie*, PWN, Warszawa 1995.

Nash W., *Jak opanować stres?*, Wyd. M, Kraków 1995.

Neuhaus R.J., *Biznes i Ewangelia. Wyzwanie dla chrześcijanina-kapitalisty*, Wyd. W drodze, Poznań 1993.

Oppermann K., Webber E., *Style porozumiewania się w pracy*, GWP, Gdańsk 2005.

Rudniański J., *Homo Cogitans*, WP, Warszawa 1975.

Smith A., *Teoria uczuć moralnych*, PWN, Warszawa 1989.

Szewczyk A., *Dobre nowiny, czyli niewymyślone zdarzenia z Internetem w tle*, Hogben, Szczecin 2012.

Szewczyk A., *Problemy moralne w świecie informacji*, Difin, Warszawa 2008.

Szewczyk A., *Świat wartości, czyli ekonomia to nie wszystko*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2022.

Szewczyk A., *Zarządzanie czasem, czyli co jest w życiu najważniejsze*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2015.

Szewczyk A., *Zarządzanie finansami, czyli ile kosztuje bilet do nieba*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2016.

Szewczyk A., *Zarządzanie problemami, czyli recepty na wirusy naszych czasów*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2018.

Szostek A. MIC, *Pogadanki z etyki*, Wyd. Niedziela, Częstochowa 1998.

Vanier J., Augustyn J. SJ, *Depresja, uczucia, lęk*, Wyd. M, Kraków 1992.

Wolf N., Rosanna E., *Sztuka kierowania ludźmi*, Wyd. Benedyktynów, Tyniec 2011.

Zamiast wstępu.....	7
Jak nic nie stracić, a wiele zyskać?	11
Zgniłe owoce zysków.....	24
Najlepszy sejf na zyski	36
Czy straty mogą zamienić się w zysk?.....	53
Wyzysk – nieetyczną drogą do zysku	73
Diametralna zmiana planów generuje nieobliczalne zyski	101
Niespodziewany zysk	123
Ujemny bilans strat i zysków	139
Czy zawsze można zyskać na czasie?	150
Dwa sposoby na duże zyski.....	169
Zysk za wszelką cenę? Zasłyszane.....	182
Bibliografia.....	232

bernardinum

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 58 536 17 57, fax 58 536 17 26
bernardinum@bernardinum.com.pl
www.bernardinum.com.pl